

PISMO DLA RODZIN.

№ 32. Warszawa, dnia 31 Lipca (12 Sierpnia) 1875 roku. Rok 11.

CENA PRENUMERATY

Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.	
rocznie	rs. 6 k. „	rocznie	rs. 8
półrocznie	„ 3 „ „	półrocznie	„ 4 k. „
kwartalnie	1 „ 50	w Austryi roczn.	14 guld.
miesięcznie	„ 50	w Prusach „	24 marek.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 72 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 39 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr 12, w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego *w Wilnie*, u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYŃCZY KOP. 15.

OMANKA

POWIEŚĆ

PRZEZ

Jana Zacharjasiewicza.

(Ciąg dalszy).

Dziwna rzecz, że nigdy nie mógł jej wyobrazić sobie bez należytego komfortu? Kobieta w twardych obowiązkach życia nie była ponętną, nie mogła serce jego rozgrzać!

Nic więc dziwnego, że ograniczony na rozkosze wyobraźni potęgował co raz wyżej widziane tam obrazy, ubierał nieznajomą swoję królowę w szaty coraz bogatsze, zaprzęgał do jej karety coraz innej maści rumaki, aż wreszcie wjechał z nią przez most zwodzony do starożytnego zamku, zbudowanego przez jednego z wielkich Arpadów!

Tak przeminęła noc szczęśliwa marzycielowi. Śród tej nocy ani razu nie zamajaczył biały przedmiejski dworek, ani razu nie okazała się w okienku blada twarz Salomei! Przy nowych, tęczowych obrazach, zbladło to wszystko i ulotniło się. Jakże zresztą przy zamku starożytnym, przy takich dostatkach pomyśleć o skromnej kawie z plackami, jakiemi częstowano go w białym dworku? Jakież to blade, małe w obec dzisiejszych jego pragnień i nadziei?...

Śród tego zatrzymał się nad ranem pociąg, a konduktor oświadczył podróżnym że są już w stolicy naddunajskiej.

Dreszcz rozkoszny przeszedł po ciele Floryjana. Zdążył więc na miejsce, gdzie obaczy swoję ukochaną Elmę i od niej usłyszy, że kocha go i kochać będzie przez całe życie, że zrobi go panem życia swego i panem na starożytnym zamku Arpadów!

— *To regat!* zawołał w tej chwili wąsaty huzar do jakiegoś podróżnego w baranim kożuchu.

Floryjanowi zdawało się, że słyszy głos jakiegoś kuzyna, jednego z Arpadów i już chciał mu nawzajem coś odpowiedzieć, gdy sobie przypomniał że po węgiersku nie umie.

Rozpoczął się teraz ruch nadzwyczajny. Floryjan przypomniał sobie ową tajemniczą pakę, bez której mógłby stracić nić Aryjadny, pospieszył szybko do wagonu, w którym ta paka spoczywała.

I ujrzał ją rzeczywiście. Tak samo wyglądała gdy obok niej siedział na furgonie.

Jakiś barczysty posługacz podsadził się pod nią... i dziwił się, że nie była tak ciężką, jak sobie wyobrażał! Rzucił ją z pogardą na mały wózek i wraz z wózkiem zatoczył do magazynu.

— Gdzież pójdzie ta paka? zapytał Floryjan ciekawie urzędnika.

— Ta paka zostanie tu do godziny dziewiątej — odpowiedział urzędnik — a potem przyjdzie po nią właściciel, który otrzyma o niej wiadomość.

— Czy można wiedzieć, jak się właściciel nazywa? z rosnącą ciekawością zapytał Floryjan.

— To do mnie nienależy.

Floryjan postanowił pozostać na dworcu aż do godziny dziewiątej, aby nie stracić śladu do swojej ubóstwianej królowej.

Powoli, strasznie powoli upływał ten czas. Zapełniał go najrozkoszniejszem marzeniem o bliskiem szczęściu swojem. Serce biło mu głośno, wszystkie tętna odzywały się.

W koło niego mimo rannej pory odbywał się ruch gwarliwy. Pociągi przychodziły i odchodziły — tysiące ludzi witało się i żegnało.

Ileż to scen, ileż dramatów przemknęło się teraz przed jego oczyma? Nie wiele z nich widział, nie wiele rozumiał! Wszystko było tak małe, tak blade w obec tych scen, które tworzyła mu gorąca wyobraźnia....

Tu matka żegna dzieci, tam dzieci żegnają ojca — owdzie znowu kochanek wtyka okazały bukiet do drobnej rączki dziewicy, która tylko spojrzeniem i uściskiem dziękuje mu za tę pamięć i prosi o dalszą....

Jakże skromne, jak drobne są marzenia i nadzieje wszystkich tych ludzi! Ten pragnie tylko starych rodziców odwiedzieć, tamten szuka skromnego zarobku, a trzeci wyrywa się z objęć ukochanych dziatek, aby do nich z kawałkiem zarobionego chleba powrócić.

Jakie to wszystko drobne i małe! A na tę małość potrzeba w dodatku gorzko pracować, potrzeba ciężko zdobywać tę odrobinę!....

— O biedni ludzie, pomyślał sobie szczęśliwy marzyciel — jak oni gorzko pracować muszą, jak małą jest skala ich pragnień?...

I stanęła przed jego oczyma okazała postać kobiety z rogiem obfitości, z którego posypały się wszystkie, najdroższe rozkosze świata....

Śród takich myśli i rojeń zbliżyła się godzina dziewiąta.

Olbrzymi wóz zatoczył się przed drzwi magazynu, jakiś urzędnik z papierem w ręku wyszedł na pomost, a cała czereda czarnych duchów zaczęła wytaczać różne paki i beczki...

Floryjan z gorączką przypatrywał się tej robocie. Zamówił sobie dorożkę, rzucił do niej torbę podróżną i pudło z wiolonczellą i kazał czekać na siebie.

Wreszcie na samym ostatku wyniesiono pakę z literami B. C. i włożono do wozu na sam wierzch.

Floryjan drgnął na widok tego tajemniczego przewodnika, który dzisiaj zaprowadzi go do nieba szczęścia!...

Wóz ruszył powoli — Floryjan skoczył do dorożki i kazał za wozem stępo jechać....

Powoli toczył się wóz długą ulicą ku środkowi miasta. Dorożka Floryjana postępowała za nim.

Floryjan widział teraz zbudzone życie gwarnej stolicy. Tam kupiec otwierał mały swój sklepik, tu brzękły wrzeciądze okazałego jakiegoś magazynu. A tam wysoko otworzyło się okno — blada twarz robotnika wyjrzała po długiej nad robotą przepędzonej nocy, aby zaczerpnąć świeżego powietrza — do nowej pracy.

Jakże ci wszyscy ludzie patrzą na niego! Oni wszyscy oczekują dziś choć małego zarobku— skala ich nadziei jest tak mała... oni pragną tylko procentu od włożonego kapitału pieniędzy i pracy, a on jedzie po kapitał, po istną wygraną na loteryi!...

— Jakże o wiele szczęśliwszym jest od nich człowiekiem?...

Wreszcie zatrzymał się wóz w samym środku stolicy przed okazałym magazynem. Przez kryształowe tafle widział Floryjan bogate tkaniny ułożone nader artystycznie.

Kilku rosłych ludzi z szaremi fartuchami wyszło z sieni i zaczęło zdejmować pakę z literami zagadkowemi.

Floryjan wyszedł z dorożki i przypatrywał się zdala tej robocie... Za kilka chwil była już paka w magazynie, a wóz olbrzymi ruszył dalej.

Floryjan wszedł do magazynu.

Elegancki jegomość z przedzieloną na połowę głową poskoczył ku niemu.

— Gdzie i kiedy mógłbym obaczyć panią i właścicielkę tej paki? zapytał Floryjan ze drżeniem serca.

Jegomość z przepołowioną głową uśmiechnął się słodko, a wydobywając zegarek odpowiedział:

— Dla damy jest to jeszcze godzina wczesna — ale tak koło południa obaczysz ją pan tutaj. Bardzo proszę!

Odpowiedź była jasna. W magazynie tym miał ją spotkać.

Ukłonił się i odszedł, aby tymczasem godne siebie zająć mieszkanie.

Odświeżony z połyskującemi włosami, na których znać było jeszcze wprawną rękę pierwszego stolicy fryzyjera, wszedł przed dwunastą do magazynu.

Poczciwy jegomość z przepołowioną głową uśmiechał się już zdala do niego. Ukłonił się nisko, zatarł ręce i rzekł:

— Przychodzisz pan w samą porę. *Comtesse* Elma próbuje właśnie w tej chwili nowy kostyjum jesienny.... być może że już gotowa.

„*Comtesse Elma*“ zabrzmiało dziwnie w uszach szczęśliwego człowieka.... Prąd gorący przeszedł przez żyły jego — w piersiach zabrakło mu oddechu....

— Czy mogę ją widzieć? zapytał z głębokim oddechem i oparł się na fotelu, aby z nadmiaru szczęścia nie upaść.

— I owszem — odrzekła głowa przepołowiona — proszę za mną.

I grzeczny jegomość otworzył małe drzwiczki, które odkryły schody kręcone prowadzące na piętro.

Floryjan wstąpił na schód pierwszy....

Serce biło mu gwałtownie — nogi drżały pod nim....

Minął jeden schód — drugi — i trzeci.... atmosfera stawała się jakoś coraz duszniejsza.... coraz wyszukańsza woń zalatywała go z góry....

Wreszcie stanął na piętrze....

W koło leżały bogate materyje jedwabne.... zmieszały się artystycznie koronki brukselskie tęczowe wstęgi owijały się o szare słupy ciemnych tkanin....

Floryjan niespokojnem okiem rzuca do koła.... przyciska pierś, aby z niej serce nie wyskoczyło.... i wreszcie.... przy ostatniem oknie oświeconą światłem z tyłu jak obraz Rembrandta.... w aksamitnym fijołkowym kostyjumie.... opartą o stół jedną ręką.... widzi.... Elmę!

Ta sama twarz melancholijnie uśmiechnięta.... te same oczy czarne i palące.... te sploty kruczych włosów, które tak uroczo wyglądały w owem zwierciadle....

Floryjan przyspieszył kroku.... i już do swego upragnionego ideału rękę chciał wyciągnąć.... gdy nagle — skamieniał!

Elma.... nie była żywą kobietą.

Była to lalka nader kunsztownie zrobiona, w aksamitny kostyjum ubrana....

. . . .

. . . .

Gdy Floryjan do siebie przyszedł, cofnął się kilka kroków od zaczarowanego widma....

Przyszła mu na myśl.... Omanka — o której z takim świątobliwym strachem mówił mu tak wiele stary Szymon.

Czyż rzeczywiście miałyby istnieć podobne zagadkowe istoty?

Z głośno bijącemi pulsami zbliżył się znowu Floryjan do swego ideału.

Życia tam jednak żadnego nie znalazł. Twarz była piękna.... widać było na niej wszystkie sine żyłki.... usta różowe otwierały się do smutnego uśmiechu.... w oczach drgał jasny promień światła i obiecywał tyle szczęścia.... ale to wszystko była tylko — sztuka!...

Twarz Floryjana nabiegła krwią — Szambor oszukał go bezczelnie!....

Zacisnął pięść jakby w niej trzymał rewolwer — i szybko zwrócił się ku drzwiom.

ŚLADY ŻYCIA.

XXXII.

Tyle życia, ile... w c z y n i e.

Niebiosa widocznie zagniewały się na nas. Narzekaliśmy na żar piekący mózgi, i oto otworzyły się upusty niebieskie i obfite strumienie deszczu spływają na uznojone czoła. Z początku była to miła ochłoda, ale gdy zbyt obfitym już obdarza nas prysznicem, zasłaniając błękitny lazur niebios i pozbawiając wszelkich rozkoszy letnich, coś przykrzyć się nam zaczyna. Cieszy się tylko jedna Wiselka, która, karmiąc swe łono obfitym strumieniem wody, straciła nieco suchotniczą postać i na dobre tyć zaczęła. Teraz już stoi w mierze, a nawet nieco opada.

Dziwne bo są losy tej starej Wisły naszej pod tajemniczym urokiem nocy spoglądamy na ów gród syreni, pod którym wije się ona błękitna wstęga, kiedy lazurowe niebios sklepienie milijardem gwiazd zagląda w przezrocze jej lica, a martwa cisza dziwnie smętnym uczuciem przejmuje duszę.

Ale przystąpmy do weselszych rzeczy. Czytaliście zapewne o przygodach panów Marka i Agapita, w których pan Jordan robi ze szlachty naszej ani mniej ani więcej tylko.... zwyczajnych idyjotów. Otóż niespodziewaliśmy się, ażeby utwór ten pozyskał tak szeroką popularność i zastosowanie w praktyce. Jeden z dorożkarzy naszych, przeczytawszy zapewne o figlu swego kolegi, jaki wyrządził dobrodusznej szlachcie, skorzystał z tak zacnego przykładu i uczynił toż samo pewnemu mechanikowi, który przyjechał tu z pospieszną maszyną dla odbijania N-rów Kuryjera Warszawskiego. Biedny francuzina kazał się zawieść do hotelu, nie wymieniając, do jakiego, nie znał bowiem zupełnie Warszawy. Sprytny dorożkarz, widząc osobistość którą łatwo *wziąć na fis*, wyruszywszy z dworca kolei żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej objechał pół Warszawy i przywiózł mechanika napowrót do hotelu Warszawsko-Wiedeńskiego, za co, ma się rozumieć, kazał sobie dobrze zapłacić.

Tymczasem pierwotny autor tego figla prawdopodobnie nie domyśla się nawet, że pomysły jego zyskały sobie tak szeroką popularność.

Z innych nowin ulotnych zaznaczymy tylko dzieje uroczej Melpomeny. Miejscowy jej przybytek, opuszczony przez wszystkie pierwszorzędne a nawet w części i drugorzędne znakomitości, radzi sobie, jak może. Główną produkcyją, jaką nas częstuje, stanowią odgrzewane mniej lub więcej wykwintne potrawy artystyczne. Tymczasowy reżyser p. Stolpe, który jest dzielnym generałem bez wojska, wydobył starą skrzynię i wydobywa z niej wszystko, co tylko da się jako tako przedstawić. Niektóre z tych smakołyków zanadto już pachną pleśnią, znaczna część jednakże wcale nieźle jeszcze smakuje. Do wykwintniejszych potraw z tej starej kuchni należy niezaprzeczenie „*Stara Romantyczka*“ przez *St. Bogusławskiego*, w której ujrzymy młodego

— Pozwól pan — ozwał się grzeczny jegomość trzymając jakiś list w ręku — zapewne to będzie dla pana. *„Hrabianka Elma“* miała w ręku list, na kopercie którego jest napisano, aby go oddać pewnemu panu, który tu przyjdzie i o nią się zapyta. Wszak pan jesteś pan Floryjan....***

Floryjan chwycił za list i wyczytał na nim swoje nazwisko. Poznał rękę Szambora.

— Jakże się panu podoba nowy kostyjum Elmy? pytał grzeczny jegomość, drapując aksamit artystycznie — pan Szambor przysyła nam ją co rok do ubrania podług ostatniej mody!....

Floryjan nie słyszał tego zapytania — bo schowawszy list w zanadrze wypadł z magazynu na ulicę.

Nie chciał w obecności kupca czytać listu, który miał mu wyjaśnić tak fatalną omyłkę!

Zmierzał czemprędzej do swego mieszkania.

. . . .

. . . .

Zaledwie dopadł sofy, rozłamał pieczątkę i zaczął czytać:

— „Zapewne gorzką wydaje się nauka, którą panu dać chciałem na drogę żywota. Pozwól jednak, że się bliżej z tego wytłumaczę.

„Słowa moje nie pochodzą z żadnej rozumowanej teoryi, ale są poprostu owocem bolesnych moich doświadczeń. Byłem tak samo młodym jak pan dziś jesteś i popełniłem ten sam błąd z tą tylko różnicą, że pan po tym błędzie możesz znaleść drogę prawą, z której zboczyłeś, a dla mnie już tej drogi nie ma!...

„Ufałem zbyt wiele rozkoszom oka i wyobraźni, i zdawało mi się, że jedynem szczęściem jest to, co one nam podają! Otóż ujrzałem kobietę, a gorąca moja wyobraźnia ubrała ją nagle we wszystkie najpiękniejsze ozdoby duszy i serca.... I z tą kobietą stanąłem na kobiercu ślubnem... Dalsze dzieje choć w części są znane światu—ale nie znane mu są moje cierpienia! Kobietę tę mimo że odemnie odeszła... kochałem! Nie mogąc niczem jej serca do siebie nakłonić, bo ona właściwie serca nie miała, a to co w niej widziałem było tylko sztuką i złudzeniem — wpadłem na myśl dziwaczną, aby to złudzenie dalej zatrzymać! Kazałem zrobić lalkę — ubieram ją podług mody, sprawiłem jej nawet mechaniczny fortepijan, który za nakręcęniem kilka sztuk sam wygrywa, i mam znowu to samo złudzenie, jakie mi ongi sprawiała żyjąca kobieta! A w tem złudzeniu mieści się jeszcze i ta korzyść, że nie pożera mnie jak dawniej zazdrość, nie miotają mem sercem owe burze, które tyle życia zabierają z sobą!.... Przez całe wieczory siedzę i patrzę na nią.... i prawdę mówię, że między tą sztuczną a dawniejszą, żyjącą moją żoną nie widzę żadnej różnicy....

„Nie bierz pan słów moich za bluźnierstwo. Dzisiaj wychowanie kobiety, w pewnych zwłaszcza sferach, dochodzi prawie do tego, że między nią a moim manekinem nie ma prawie żadnej różnicy! Tu i tam chodzi tylko o kilkanaście łokci jedwabnej materyi — tu i tam jest sztuczny włos od fryzyjera! tu i tam cała twarz jest tylko sztuką! Dodaj do tego mechaniczny fortepijan, a będziesz miał ideał, do którego dąży skrzywione wychowanie kobiety. Przymioty serca i duszy nie mają wartości, bo zamiast serca i głębszej nauki, zamiast poczucia twardych obowiązków życia zapanowały rozkosze oka i wyobraźni!... Dla oka tylko robi się wszystko — resztę dokonywa samolubna wyobraźnia!...

„Nie gniewaj się, żeś padł ofiarą złudzenia, że oko i wyobraźnia złudziły cię — bo nie dodałeś do tego ani serca, ani żadnych innych zacniejszych pobudek!....

„Oszukiwałeś sam siebie — fałszywą wiarą swoją chciałeś drugich oszukać — i zostałeś sam oszukanym!...

„Wmówiłeś w siebie, że kochasz Salomeę, a tymczasem pierwsza lepsza zręczna lalka uniosła cię w wyobraźni na drogę przeniewierstwa!

„Słuszną za to ponosisz karę, a lepiej że to się stało pierwej niżeli później. Próbę tę daruj mi. d. c. n.

ZARYSY

Gubernij północno-i południowo zachodnich.

Skreślił

Jan ze Śliwina.

(ciąg dalszy).

Zamek Nieświeżski na dawnem grodzisku wzniesiony, wałami otoczony, był przez całe wieki silną fortecą i nieraz mężnie odpierał napastujących. Miasto rozszerzało się, zdobiło, handel i przemysł był bardzo znaczny. Wszyscy Radziwiłłowie troszczyli się o nadanie większej świetności Nieświeżowi. Najwięcej wszakże przyczynił do tego się głośny w kraju i za granicą Karol ks. Radziwiłł, zwany *Panie Kochanku*. On to założył w Nieświeżu szkołę artyleryi, oraz szkołę marynarki, tworząc osobną osadę zwaną *Alba* za Nieświeżem, gdzie umyślnie wykopać rozkazał obszerne kanały i stawy, urządził flotyllę i kształcił młódź szlachecką w sztuce marynarskiej. Teatr, orkiestra, drukarnia, ludwisarnia, fabryka pasów i inne słynęły za jego czasów. Skarbiec Nieświeżski mieścił w sobie najkosztowniejsze sprzęty, klejnoty, naczynia złote i srebrne, zbroje kosztowne, buławy hetmańskie i laski marszałkowskie, drogie makaty, kobierce i t. d. Ocalałe inwentarze świadczą o tych nadzwyczajnych bogactwach, jakie zawierał skarbiec. Lecz niesame tylko bogactwa zwracały tu uwagę. Gabinet numizmatyczny, galeryja obrazów, biblijoteka, archiwum, były znaczne i starannie utrzymane. Od czasów Sierotki tworzyła się galeryja obrazów historycznych i portretów królów, rodziny Radziwiłłów i spowinowaconych z nimi domów. W r. 1779 nie zważając na wojnę i rabunki szwedzkie w galeryi liczono jeszcze 984 obrazów na płótnie i drzewie. Biblijoteczka zawierała kilkadziesiąt tysięcy tomów dzieł rzadkich. Archiwum mieściło nie tylko przywileje, nadania, wszelkie akta i korespondency-

---

debiutanta p. *Puchniewskiego*, jednego ze zdolniejszych komików prowincyjonalnych.

Oryginalną nowość stanowiła zaimprowizowana scena na ulicy Włodzimierskiej. Dochód z przedstawienia poszedł na ołtarz ofiary dla biednych pogorzelców. Ależ jakiż cel tej emigracyi. Czy teatr letni nie udzieliłby gościnności dla dobroczynnego celu?

Ale *a propòs* pogorzelców. Zewsząd płyną dla nich obfite dary, tak ze składek osób prywatnych, jak z przedstawień teatralnych. Nie tylko Warszawa, ale i prowincyja cała przyjmuje chętny udział w składaniu ofiar. A całą tę dobroczynność wszędzie prawie okrywa nadobna szata Melpomeny, której oddawna tak gorąco hołduje mnóstwo amatorów i amatorek prowincyjonalnych. Niezadługo duch artyzmu scenicznego przeniknie do wszystkich warstw społecznych, i kraina Garryków, Talm i Królikowskich zaludni się mnóstwem powołanych i niepowołanych adeptów. Słowem teatromanija nadzwyczaj szeroko się u nas rozwinęła. Jednakże ze względu na to, że składa ona zawsze najobfitsze dary na ołtarzu dobra ogólnego, nie mamy nic przeciwko tak szerokiemu jej panowaniu. Byleby tylko ta manija nie przeszła w chorobę.

Więc jeszcze *a propòs* przedstawień amatorskich, opowiemy wam charakterystyczną anegdotkę.

Zaledwie wieść o okropnych klęskach, jakim uległa prowincyja, rozeszła się po mieście naszem, wnet zebrało się spore towarzystwo celem zaprodukowania swych zdolności artystycznych dla dobra nieszczęśliwych ofiar. Wszystko szło jak najlepiej. Ale skoro przyszło do rozdania ról, wybuchła wojna domowa. Żadna z amatorek nie chciała przyjąć na siebie roli, w którejby obok talentu scenicznego nie mogły zajaśnieć i urocze wdzięki ciała... Zacne damy nie dały sobie w żaden sposób wytłómaczyć, że wystawa wdzięków nie a nic nie przyczyni się do ulgi cierpiącej ludzkości. Oburzały się na samą myśl pokrycia swej piękności szpetną charakterystyką.

— Ja panie, nie czuję zdolności do ról charakterystycznych!

— A mój układ twarzy nie jest do tego odpowiedni!

— Ja mam głos zanadto miękki!

— A ja ruchy za żywe!...

Tak niezręczne wymówki stanowiły tarczę przeciwko chwilowemu uszkodzeniu wdzięków. Widowisko nie przyszło do skutku. Jaki stąd sens moralny. Oto że niewiasty nasze uważają piękność swą za najdroższy i jedyny skarb, którym je nieba obdarzyły, i że nawet na chwilę za nic w świecie wydrzeć go sobie nie pozwolą.

Ale skoro mowa o piękności, przypomina nam się świetna produkcyja *Muchy*. Patrzcie i podziwiajcie!... Bo oto nieśmiertelność spoczęła na obliczach uroczych cór grodu naszego. O potęgo sławy, jakżeś ty wielka. Sądziliśmy że laury twe spoczną tylko na skroniach niewiast znanych powszechnie z popularyzowania swych wdzięków, a tymczasem widzimy tu oto eleganckie dziewice, których piękność kwitnie w zaciszu domowego ogniska, nie wychodząc na sferę szerszej produkcyi. Witamy cię, o chlubo społeczeństwa naszego,

je domu Radziwiłłowskiego; ale nadto przywileje i nadania królewskie dla Litwy, zaczynając od aktów za Wład. Jagiełły. Na mocy przywileju Zygmunta Augusta Radziwiłłowie Nieświeżcy mieli sobie nadane prawo dziedziczne chowania i strzeżenia głównego archiwum całego księstwa.

Biblijotekę przewieziono w r. 1772 do Petersburga. Galeryją obrazów w późniejszych czasach do Berlina do pałacu pruskich Radziwiłłów. W Nieświeżu pozostało tylko archiwum w części przynajmniej.

W r. 1784 Stanisław August cały tydzień bawił w Nieświeżu. Z całego kraju zjechali się tu przedniejsi obywatele na przyjęcie króla. Uczty, teatr, koncerta, łowy, przeglądy wojsk Radziwiłłowskich, ćwiczenia majtków w Albie uprzyjemniały pobyt królewski. Archiwum Nieświeżskie przechowało dokładne opisanie każdego dnia tego pobytu, a czytając zdaje się że widzisz przed sobą sceny i obrazy z tysiąca i jednej nocy.

Radziwiłł, *Panie Kochanku*, znany w piśmiennictwie naszem jako oryginał, kłamca, jako pan, który tylko bawić się umiał. Robią go niektórzy nieukiem nawet zupełnym. W ostatnich czasach, Kraszewski i inni głębiej ocenili tego człowieka. Że był to oryginał, lubił dziwactwa najrozmaitsze, to pewno; ale miał i pomysły świetne, miał serce zacne. Wydane niedawno pamiętniki z jego życia z archiwum nieświeżskiego wzięte, malują nam tę postać zbyt może przesadnie, pochlebstw dla możnowładzcy nieszczędzono; lecz zestawienie samych tylko faktów, wątpliwości nieulegających, najświetniej przedstawia tego człowieka, jako przyjaciela ludu, troskliwego o jego dobro, hojnego i wspaniałomyślnego dobroczyńcę, opiekuna sztuk i nauk. On też najwięcej przyczynił się do rozszerzenia ogrodnictwa na Litwie.

W kościele farnym, w sklepieniach, jest grób familijny Radziwiłłów, ordynatów nieświeżskich, od Sierotki zacząwszy, oraz ich żon i dzieci. Ordynacyja ta przez Radziwiłła *Sierotkę* założona trwała lat 200 i upadła ze śmiercią Dominika Radziwiłła w r. 1813. Nieśwież dziś jest własnością pruskich Radziwiłłów.

Nieśwież i dziś jeszcze należy do znaczniejszych miasteczek w kraju, liczy bowiem 7266 mieszkańców, przeszło 500 domów, około 60 magazynów. W r. 1862 była tu cerkiew prawosławna, kościołów katolickich 5, klasztorów 4. Do miasta należy 4250 dziesięcin ziemi.

Mohylna, nad Niemnem, była własnością Paców, a później Radziwiłłów, pamiętna zwycięztwem Ryngolda w. ks. litew. nad sprzymierzonymi książętami Rusi południowej w roku 1235.

Kleck nad Łanią, o $2\frac{1}{2}$ mili od Nieświeża, był stolicą udzielnego księstwa Drechowiczan w XI i XII stuleciach, następnie stanowił dzielnicę Michała Zygmuntowicza (Kejstutowicza) od r. 1442, a od Zygmunta Augusta nadany Radziwiłłom, przedtem zaś czas jakiś był we władaniu królowej Bony.

Olbracht, Mikołaj-Krzysztof i Stanisław Radziwiłłowie w r. 1586 utworzyli *ordynacyją klecką*. Za Mikołaja Czarnego znany reformator Szymon Budny był tu ministrem, i stąd już gdy przeszedł na aryjanizm udał się do *Łoska*, gdzie pod opieką Jana Kiszki protektora aryjanów założył drukarnię; w Klecku po Budnym został ministrem nie mniej głośny reformator Tomasz Falkoniusz Sokołowski, który tak samo skończył na aryjanizmie. Zbór kalwiński trwał tu niedługo, bo syn Czarnego, Albert, odebrał go i na kościół zamienił. Później, już w XVII stuleciu założono tu klasztor Dominikanów.

Zamek tutejszy, niegdyś obronny, na dawnem grodzisku założony, istnieje jeszcze w ruinach otoczony rozległemi błotami. W okolicy miasta mnóstwo mogił i ślady szańców tatarskich. Tu bowiem, w r. 1586 sławny kniaź Michał Gliński, d. 7 sierpnia, blisko 20,000 tatarów trupem położył i krwią ich staw przyległy zafarbował. Staw ten od tego czasu i do dziś dnia *Krasnym-stawem* się nazywa.

Obecnie w Klecku jest przeszło 3000 mieszkańców, około 500 domów i 4 do roku jarmarki.

Niedaleko Klecka jest wieś z ozdobnym pałacem, *Radziwilmonty*, rezydencyja dawna ordynatów kleckich.

Lachowicze, o 3 mile od Klecka, nad *Wiedniżką*, stanowiły najznakomitszą twierdzę w całej Litwie. Założycielem jej był, dziedzic tego miejsca sławny Jan Karol Chodkiewicz, hrabia na Lachowiczach. W r. 1660 kniaź Chowański, po półrocznem obłężeniu tej twierdzy, poniósł ciężką klęskę d. 28 czerwca. Pamiętne są Lachowicze i wielu innemi bitwami, szczególnie z czasów wojny Karola XII.

W kościele farnym Lachowickim spoczywają zwłoki Tadeusza *Rejtena*, posła nowogrodzkiego, zmarłego w r. 1780. Obecnie w Lachowiczach jest 350 domów i około 2000 mieszkańców. Jest tu meczet tatarski, gdyż jak w samych Lachowiczach, tak również w okolicy, w sąsiednim powiecie Nowogrodzkim dotąd mieszkają tatarzy z czasów Witolda przesiedleni z Krymu. (Ogólna liczba tatarów w gub. Mińskiej wynosi 3,032).

Starobino, miasteczko ze 108 domami, ostatnia osada nad rzeką Słuczą, dalej zaś brzegi Słuczy zupełnie nie zaludnione.

Większa część miejscowości przez nas wymienionych, a dziś w powiecie Słuckim znajdujących się, należała do województwa Nowogrodzkiego.

Kraina Nowogrodzka, czyli dzisiejszy powiat Nowogrodzki sprawiedliwie nazywany jest Ukrainą litewską. Z położenia swojego wielce podobny do Trockiego, przynajmniej do okolic nad-niemeńskich. Mnóstwo pięknych jezior, rzek i strumyków, które jednoczą ze sobą dwie główne rzeki, Niemen na północo-wschodzie i Szczarę na południu; wspaniałe wzgórza, rozległe łany i niwy, bujna i obfita roślinność, gaje dębowe i brzozowe tworzą tu czarowne krajobrazy, zdobne w piękne i malownicze widoki. Prastara ta siedziba słowiańska, do dziś dnia prawie wyłącznie przez Bia-

---

o uroczy bukiecie piękności Warszawskich! Obyś rozszedł się po szerokim świecie w tysiącach tysięcy egzemplarzy i rozniósł sławę pań naszych po wszystkich zakątkach ziemi, gdzie niesłyszano jeszcze o wdziękach warszawskich. Po ukończeniu tej produkcyi artystycznej, proponowalibyśmy też w imię sprawiedliwości, zebrać równie uroczy bukiet piękności prowincyjonalnych miejskich i wiejskich, a wreszcie przejść i do ludu. Niechaj Europa zobaczy, jak też wyglądają nasze sielankowe Kasie i Marysie!

Wracając do nowin teatralnych, zaznaczymy jeszcze, że szlachetni synowie południa, dźwięczne słowiki włoskiej ziemi dawszy najprzód *pożegnalne*, później *ostatnie pożegnalne*, a wreszcie *ostatnie nieodwołalnie pożegnalne* przedstawienie, uleciały w cieplejsze kraje.

Na zakończenie jeszcze fakcik charakteryzujący dobitnie jednę z naszych sfer społecznych. Oto, jak donosi Izraelita, jeden z żydowskich mieszkańców Kalisza oświadczył gotowość złożenia ofiary 35,000 rs. dla *żydów w Palestynie* (!). Piękna rzecz!... Więc grosz, wyssany z łona społeczeństwa naszego idzie aż w tak odległe kraje. Więc panowie Izraelici nasi uważają węzły wspólnej religijności za świętsze od obowiązków względem społeczeństwa, wśród którego żyją i które napełniło obficie ich groszożądne kieski. Z tej samej zasady ewangielicy powinni wysyłać spore *subsidia* dla współwyznawców swoich do „Vaterlandu,“ katolicy — dla wiernych w Hiszpanii, Francyi i Włoszech, zwolennicy machometańskiej wiary do Konstantynopola. Piękna perspektywa!... Tym sposobem nie długo ujrzemy się bez grosza. Nie szanowni panowie, nawet tradycyjna tęsknota do ziemi obiecanej, nie usprawiedliwia podobnego czynu.

Z nowin artystycznych zaznaczymy jednę jeszcze wiadomość. Oto prasa galicyjska nieszczędzi pochwał nowemu utworowi znanego już komedyjopisarza p. *Wł. hr. Koziebrodzkiego* p. t. „*Postępowe swaty*.“ Krytycy tamtejsi utrzymują, że jest to pierwsza farsa, w prawdziwie polskim duchu napisana. Dotychczas znaliśmy p. K., jako mniej lub więcej zręcznego dosyć, naśladowcę francuskiej twórczości, której lekkie produkcyje chciał na rodzinnym gruncie zaklimatyzować. Cieszymy się zaiste, z tak szczęśliwego zwrotu. Lecz mimo to zrobimy uwagę braciom po piórze z Galicyi, że nasza twórczość dramatyczna posiada już sporą wiązankę zręcznych fars scenicznych, w rzędzie których celuje Fredro (syn), utworom którego nie można bynajmniej odmówić swojskiego kolorytu. Daremnie więc krzyczycie: „*Eureka!*...“

Zanotować tu musimy mile przemawiający do serca fakt ze sfery wydawnictwa naszego. Dowodzi on jasno, że prawdziwie sumienna i pożyteczna produkcyja myśli, na której powiewa sztandar powolnej reformy życia w samych podwalinach jego, znajduje niekiedy u ogółu naszego należyte uznanie i poparcie. Znacie zapewne, czytelnicy dziełka pedagogiczne p. *Jeskiego*, wiecie, ileż zacnych a postępowych prawdzie poglądów rozświeca tam umysł kieruje działalnością wychowańców młodego po-

łorusów zamieszkała, przechowała nie mało zabytków z epok pierwotnych, jak również podań ludowych i pieśni dalekich sięgających czasów. Tylko na południu wybrzeża Szczary są błotniste, tworząc nizinę, która właściwie jest już początkiem Polesia Mozyrskiego.

Nowogródek dawny *Nowo-horodok* (Parva Nowogardia), należy do najdawniejszych osad w tym kraju. Na starożytnym grodzisku wzniesiono warowny zamek, a już w późniejszych wiekach, na początku XI, podług innych XII stulecia, Włodzimierz W., lub też który z jego następców, książąt kijowskich, założył tu miasto, i na pamiątkę Nowogrodu Wielkiego Nowohorodkiem nazwał. Po klęsce zadanej przez Kajdana i spaleniu zamku, w r. 1241, Erdziwiłł książe litewski, zwalczywszy Mongołów, zajął Nowogródek i zamek z ruin podźwignął, brat zaś jego, sławny Mendog (właściwie Mindowg), założył tu wielkoksiężęcą stolicę Litwy i Rusi, i tu w Nowogródku, w r. 1252, z rozkazu papieża Innocentego IV koronowany był na króla litewskiego razem z małżonką swą Martą. Gedymin przeniósł stolicę do Trok, później do Wilna, Nowogródek jednak używał zawsze wielkiego znaczenia. Wszystkie niemal ważniejsze sprawy państwowe, szczególnie Rusi dotyczące, w Nowogródku odbywały się. Tak np. 15 listopada 1415 roku odbył się pamiętny zjazd biskupów (władyków) wschodniego obrządku z całej Rusi i Litwy. Wezwani przez w. ks. Witolda biskupi: Czernihowski, Połocki, Łucki, Włodzimirski, Halicki, Smoleński, Chełmski, Czerwieński i Turowski, po naradzeniu się z wielkim księciem, działając zgodnie z jego żądaniem i widokami politycznymi, aktem uroczystym uchwalili, aby cerkiew grecka na Rusi i Litwie stanowiła odrębną i niezależną od wschodniej metropoliję. Pierwszym metropolitą ogłoszono wtedy Grzegorza Cemblaka, przeznaczając dla niego trzy główne katedry: w Wilnie, w Kijowie i w Nowogródku. Na tym uroczystym zjeździe otaczali wielkiego księcia przedniejsi książęta i panowie z całego kraju, jak książęta Olelkowiczowie Słuccy i Kopylscy, książęta: Ostrożcy, Czartoryscy, Sanguszkowie, Sapiehowie, Czetwertyńscy, Wiszniowieccy, Zbarażcy, Poryccy, Woronieccy, Druccy, Sokolińscy, Horscy, Lubeccy, Ozierscy, Podberescy, Puzynowie, Ogińscy, oraz potomkowie sławnego Kalinika, Tyszki albo Tyszkiewiczowie i w. i.

W lat siedem po tym wypadku, w r. 1422, w tym samym Nowogródku król Jagiełło pojął za żonę, najpiękniejszą z dziewic litewsko-rusińskich, Sonkę, córkę Andrzeja księcia Holszańskiego i Wiaziemskiego.

Niepodobna nam wyliczać wszystkie wypadki dziejowe Nowogródka znane z innych źródeł. Pozostaje tylko wspomnieć o ważniejszych zabytkach tego starożytnego grodu. Odwieczne grodzisko tutejsze, na którem jeszcze sterczą ruiny zamku, zachowało ślady dwóch wałów; z tych jeden ma 539, a drugi 382 metry obwodu. Szerokość fosy wynosi 77 metrów. Z wałów nowogrodzkich rozległy, na mil dziesięć widok. Naprzeciw góry zamkowej, czyli dawnego grodziska, przedzielona drogą wiodącą do Lubcza, wznosi się inna sypana góra zwana dotąd *Mendogową*. Niewiadomo z pewnością czy tu spoczywają szczątki bohatera, czy też tylko na cześć jego usypana. Jeszcze na początku XVII wieku było tu dziesięć cerkwi. Najstarożytniejsza założoną była w XI wieku. W bardzo starożytnej cerkwi Borysa i Hleba znajdował się cudowny obraz Bogarodzicy. Kościół farny założony już w wieku XV, podług tradycyi na tem miejscu, gdzie za pogaństwa stała świątynia Perkuna. W kościele tym jest piękny pomnik marmurowy, wzniesiony przez Jana Rudominę, kasztelana nowogrodzkiego dla poległych towarzyszów broni w bitwie pod Chocimem r. 1621. Artysta wyobraził na pomniku w wypukłej rzeźbie samego Rudominę, jako dowódcę, klęczącego, obok niego zaś klęczy dziewięciu towarzyszów broni, poległych w bitwie, wszyscy bez głów, które u stóp ich złożono, co miało znaczyć, że im turcy głowy poucinali. Było tu kilka klasztorów: Jezuitów, Dominikanów, Franciszkanów, Bonifratrów, Dominikanek. Wyznawcy kościoła helweckiego, jak również aryjanie mieli tu swoje świątynie.

d. c. n.

Urywek z pamiętnika

PRZEZ

Adolfa Jankowskiego.

(ciąg dalszy).

Nikt przecież nie cieszył się tak serdecznie z konfuzyi pana Lejtnanta, skoro się wieść o wypadku tym do ludzi służących doniosła jak Walek, stajenny mego dziadka.

Pan Ober-lejtnant był kawalerem; a może też nie mając i takich potrzeb jak żonaci jego koledzy, i mniejszym dla tego był chciwcem. Ale dobrze to wynagradzał, faryzeuszowskiem i obłudnem postępowaniem swojem. Cichutki, spokojniutki, grzeczny i układny na oko — skończonym przecież w gruncie duszy był Rodinem, a z domową służbą, obchodził się nieraz z okrucieństwem tygrysa!

Walenty, był tylko służącym dziadka, a równo przecież lejtnant zawsze coś do niego upatrzeć musiał. I zdarzało się nieraz, że gdy Walek czyścił mu wierzchowca, widząc tam jakąś niedokładność w przystępie złego humoru, skórę biedakowi na ciele, cieniutką nieodstępną szpicrutą swoją poprzecinał.

Łatwo więc sobie można wyobrazić radość stajennego, gdy pan kapitan po tej niefortunnej dla siebie przygodzie, zaraz nazajutrz gospodarza swego opuścił, i więcej na oczy się już nie pokazał.

Walek wzięty prosto z zagonu do stajni, miał brata młodszego okrutnego niedorajdę, którego dziadek mój, używał do posyłek na wsi.

---

kolenia. Otóż prace te niektóre całkowicie, a reszta w znacznej części przez rodziców i pedagogów rozkupione już zostały. Tym sposobem wiele pożywczego ziarna rozsypie się w sferze, gdzie sumienna praca najlepsze wyda owoce. Od wychowania młodego pokolenia zależą całkowicie prawie przyszłe losy społeczeństwa. Wszelki więc w tej sferze choćby najmniejszy objaw zwrotu ku lepszemu, cieszy nas niepomiernie.

„Cierpliwości! — czekajmy aż rosa niebieska w postaci marnego kruszczu spłynie nam na głowy!“ Oto piosenka, jaką nucą sobie niedoszli założyciele niedoszłego *muzeum przemysłowego*. „Wszystko już gotowe, potrzeba tylko pozwolenia władzy!“ — mówiono powszechnie. Tymczasem przyszło pozwolenie Władzy i pokazało się, że doniosła ta instytucyja może jeszcze przed urodzeniem swojem umrzeć na suchoty kieszonkowe. Wprawdzie są już tam jakieś ofiary, złożone przez szkołę Żabikowską, ale to trochę za mało!... Trzeba więc wyczekiwać manny niebieskiej!... O grodzie *szlachetny*, grodzie znany z dobroczynności swojej, czyż zabrakło już grosza w twojej sakiewce? O panowie przemysłowcy, czyż i do was naprożno pukać będzie instytucyja, która ku pożytkowi waszemu narodzić się pragnie?... Nie przypuszczamy, aby głos prasy miał być głosem wołającego na puszczy. Wolimy raczej sądzić, że zajęci innymi sprawami zapomnieliście na chwilę o tem, co was najbardziej może obchodzić powinno. Ale niebawem przyjdzie chwila opamiętania, i suchotnicze muzeum roztyje z łaski dobrodziejów swoich. Tymczasem cierpliwości, panowie agitatorzy, i gdyby instytucyja, którą ku pożytkowi naszemu ufundować pragniecie, miała iść *ad acta*, postarajcie się o założenie jakiego muzeum *sztuk pięknych, a wyzwolonych*, i zaręczamy, że lepiej się wam powiedzie. Tymczasem, milcz nieznośny demonie i nie uprzedzaj wypadków!

„Powiedziano i zrobiono!“ Oto fakt, który się niezbyt często u nas przytrafia. Skoro więc tak niezgodna z obyczajem naszym pośpieszność pojawi się na horyzoncie życia społecznego, zwracamy się z pewną niewiarą w stronę, skąd nagła trąba czynu do uszu naszych dochodzi. Wprawdzie zajrzawszy w mrok przeszłości, widzimy tam już zaczątki tego, co już od dawna zabłysnąć było powinno. Lecz za tak szybkie odgrzanie potrawy, której należało się nam już od niepamiętnych czasów zasmakować, serdeczne złóżmy dzięki!

Mamy oto *komitet sanitarny*, instytucyją dla braku której tysiące ofiar niepotrzebnie wyprawiło się u nas w krainę gdzie już żadnych komitetów sanitarnych niepotrzeba. Otóż instytucyja ta istnieje i niebawem działać pocznie. Przedewszystkiem radzilibyśmy jej zajrzeć do pewnych dzielnic miasta, gdzie żyją potomkowie Abrahama i Izaaka owe indywidua hołdujące najprostszym zasadom obyczajowości, ze zmysłami, obojętnymi na najsilniejsze wrażenia, najmilsze dzieci natury, nie pogardzające wszelkiemi ich darami. Woń najprozaiczniejszej substancyi jest im równie miłą jak zapach kwiatków polnych.

Zdarzyło się, że obywatel mieszkający o parę mil od Sandomierza, dla którego dziadek ze szczególniejszym był respektem powierzył mu dwie ważne sprawy swoje, prosząc, aby niezaniedbał jak najspieszniej uwiadomić go, skoroby stanowcza jakaś decyzyja w sprawach tych zapadła.

I jednego dnia też obie sprawy zostały zasądzone, ale dziadek położywszy się późno zwyczajem swoim, i obudziwszy dopiero nazajutrz uczuł że głowa mu cięży, i nie zdolnym jest do pisania. Kazał tedy zawołać zwykłego posłańca swego i rzekł:

— Słuchaj no mój kochany! miałem dziś list pisać do pana N*, ale głowa mnie boli i pisać nie będę. Weź że ty nogi za pas, i ruszaj do niego, a powiedz;—tylko uważaj abyś słów nie zapomniał i bąka mi jakiego nie strzelił;—że jedna sprawa pana N. poszła przez apelacyją do Piotrkowa,—a druga, *in causa fisci* *).

— Rozumiesz com ci powiedział?

— A dyć rozumiem prose Wielmoznego pana,—ien causa piscy!

— Ale—nie piscy—jeno fisci!

— A ha! rozumiem,—fiscy.

— No tak dobrze! powtórz to teraz sobie z dziesięć razy, żebyś zapamiętał.

Chłop stoi przy drzwiach — a powtarza:

— Fiscy, — fiscy, — fiscy,—ien kauza piscy.

— Dobrze już pamiętasz?

— A dyć pamiętam prose pona.

— No to ruszaj że z Bogiem; a spiesz mi i wracaj niebawem. Ale, ale! Gdybyś przypadkiem nie zastał pana N* w domu to zaczekasz w sieni jego powrotu.

— Dobza prosa wielmoznego pona.

Chłop w południe był już z powrotem.

— A no cóż? widziałeś się z panem N*?

*) Jest to prawne wyrażenie gdy sprawa czyjaś w zawieszeniu.

— A dyć widziołem!

— I cóż mówił na to wszystko, com ci kazał powiedzieć?

— Co mówił, zaros! A to ino mówił:

— Ty! Jezdeś wielki bałwon! a ponu jondwokotowi powidz, coby ta sobie z poćciwych ludzisków nie kpił!

Dziadek zdrętwiał.

— Cóżeś ty mu tam powiedział — ośle jeden?

— A cóz ta miołem godać ino tyle to, co pon jondwokat kozoł.

Nazajutrz było święto uroczyste, i całe okoliczne obywatelstwo zjechało się do kościoła. Był tam tedy i p. N* ale krzywy jakiś i markotny. Widać było z całej jego postawy, że aż drży, aby się z dziadkiem rozmówić. Dziadek zatopiony w modlitwie nie widział przecież tej niespokojności obywatela, a zresztą należał on do bractwa „Sodalis Marianus“ dosyć licznego w Sandomierzu podówczas, więc i za grzechby sobie poczytał, o potocznych rzeczach mówić w kościele.

Ale skoro suma się skończyła, wyszli obadwaj z kościoła zetknąwszy się w kruchcie, i pan N. po zwykłych przywitaniach wnet dziadka zaczepił:

— Powiedz że mi teraz Leonie, co to wszystko znaczy?

— Jak to? a cóż ci mówił mój posłaniec?

— Twój posłaniec? a niech go dyjabli wezmą! Plótł mi jakieś — koszałki opałki.

— On!

— A no rozumie się! Duby smalone mówię ci!

— Cóż takiego przecie?

— Jak to — co!— Wszystko coś mu kazał powiedzieć.

— Ja!

— Zapewne; głupstwo wierutne którego tu nie warto powtarzać; a w obu interesach moich jestem ciemny jak tabaka w rogu.

— Głupstwo, powiadasz? Ależ ja teraz znów nic a nic ciebie nie rozumiem. Mów że mi jaśniej na Boga!

— No to słuchaj! Posłaniec twój plótł mi więc że jedna sprawa poszła przez du....ę do Por....a, a druga — kiejś tam w kałuzy piscy.

— A bałwan przeklęty!... to dopiero z poselstwa sprawił się... Ale ty, ty! jak mogłeś głupstwu takiemu wierzyć?

— Juściż, nie chciałem mu wierzyć z początku, ale wytrzeszczył na mnie gały, i przysięgał na duszę, żeś mu tak kazał powiedzieć.

— O osioł z osłów dopiero! słuchajże!...

I dziadek o wszystkiem na nowo musiał pana N* informować.

Nie dawne to czasy, kiedy większość córek obywatelskich po klasztorach się chowała, w wyższych trzymanych tam pensyjonatach.

I mogło wychowanie takie mieć swoje wady gdyż panienka zamknięta w klasztorze, i od reszty świata oddzielona a rzadkie tylko krewnych i przyjaciół odbierając wizyty, przy zbytnich praktykach pobożności, jednostronnego o rzeczach nabierała pojęcia.

Ale trudno i zaprzeczyć, że wychowywanie dziewic w klasztorach, nie mało przyczyniało się do utrwalenia w sercach niewiast tradycyj rodzinnych, a wypuszczało na świat kobiety—rzetelne bogobojne i cnotliwe.

Stając się one następnie matkami rodów, umiały już szczepić w zstępnem pokoleniu, patryjarchalne cnoty, i miłość domowego ogniska. Więc i matka moja skoro dziadkowie oboje pomarli, zostawszy sierotą — i panną młodą do tego, szukała dla siebie przyzwoitego schronienia u panien Wizytek Warszawskich. Była tam ksienią klasztoru podówczas ciotka jej rodzona i powołała matkę do siebie na podochmistrzynię tamtejszego pensyjonatu.

Matka wdzięczną była ciotce za tę pomoc. Ale, nie długo wszakże pozostać mogła w klasztorze skoligaconą będąc z wielu rodzinami kraju. I na usilne prośby państwa Orł. rodziców późniejszego Sędziego Apelacyjnego a serdecznych obojga dziadków przyjaciół po dwu-letnim w klasztorze pobycie przeniosła

---

widok najmniej odpowiadający zasadom estetyki ma dla nich równy powab z najpiękniejszym krajobrazem natury. Żyjąc wspólnie ze wszelkiego rodzaju istotami organicznemi i nieorganicznemi, różnej barwy woni i wartości roztaczają w około atmosferę, przypominającą dzieje zarazy egipskiej. Tam toby zajrzeć potrzeba z miotełką czystości!

Nie tu miejsce wyliczać wiele innych udogodnień i potrzeb, których uskutecznienie winno wejść w sferę nowej instytucyi. Niewątpimy, iż sama ona zrozumie zadanie swoje i należycie je uskuteczni. W związku z tem znajduje się i kwestyja kanalizacyi, na rozwiązanie której już tak dawno oczekują nosy i inne szlachetne a pogwałcone w swych prawach organa ciała naszego.

Wkrótce powitamy utylitarną instytucyją bardzo *Szkołą Handlową*, która niedługo już otwartą zostanie w mieście naszem. Prócz specyjalnego znaczenia jako przygotowującej wykwalifikowane jednostki do fachu kupieckiego, przyznać jej musimy i bardziej ogólne społeczne znaczenie. „Wiedza to potęga“ powiedział jeden z wielkich myślicieli, a my dodamy: „wiedza to kilka stopni wyżej na szczeblach moralnej podniosłości.“ Wiedza uszlachetnia tych, których pierś nie zatruł jeszcze w zupełności jad moralnej zgnilizny. Brak tego światła przewodniego sprawia, że wśród ciemności słabe stopy na kręte podążają niekiedy ścieżki. Wiadomo przytem, że z podwyższeniem stopnia oświaty pewnej warstwy społecznej, i stan jej ekonomiczny znacznie się ulepsza. W każdym razie wszyscy, którzy przypatrzyli się bliżej naszej młodzieży handlowej, przekonali się, że mrok ciemnoty umysłowej, jaki tam panuje, stanowi główną przyczynę moralnego upadku tej klasy. Pierwszy więc promyk wiedzy, jaki się przedrzeć do niej zdoła, będzie pierwszym zwiastunem obyczajowego odrodzenia. Dotychczas debatowaliśmy tylko wiele w tej kwestyi. Teraz czyn zastąpi puste bańki frazeologii. Zobaczymy, co więcej zdziałać potrafi!...

Następujące przedmioty stanowić będą treść wykładów: język rosyjski, polski, niemiecki i francuzki; geografija handlowa i statystyka, historyja, matematyka i arytmetyka kupiecka, historyja naturalna; fizyka, chemija; technologija, historyja handlu, prawo handlowe i wekslowe, towaroznawstwo, zasadnicze pojęcia o wartości, zamianie, pieniądzach, zaofiarowaniu i zapotrzebowaniu, handlu, kredycie, stowarzyszeniach, bankach, ubezpieczeniach, urządzeniach celnych i t. p. buchalteryja, korespondencyje handlowe, kaligrafija i rysunki.

Widzimy więc, że żaden, niezbędny dla fachowego wykształcenia przedmiot, nie jest tu pominięty, a i ogólne źródło wiedzy dosyć obficie wypływać będzie ze specyjalnych wiadomości.

Do zakładów przyjmowani będą młodzieńcy zacząwszy od 14 roku życia. Tym więc sposobem, uwolniwszy się z pętów elementarnego przygotowania, szkoła tem łatwiej wypełniać będzie zadanie swoje.

Zakład składać się będzie z trzech klas: jednej przygotowawczej i dwóch specyjalno-handlowych. Do klasy przygotowawczej przyjmowani będą tylko młodzieńcy, którzy ukoń-

się na mieszkanie, do domu ich na Ceglanej ulicy.

A może zresztą do przyjęcia ofiary państwa Orł. i ta jeszcze skłoniła matkę racyja, że dom to był gościnny i otwarty dla przyjaciół, z którymi w bliższych Orł: żyli stosunkac h. Łatwiej zatem wyjść mogła ztamtąd za mąż, niż z klasztoru.

I ojcu memu, dzielnemu a pokaźnemu mężczyznie dla miłości matki z Sandomierza do Warszawy przesiadłemu a którego stale kochała łatwiej było widywać się z nią u państwa Orł. i o rękę jej starać.

Nie potrzebował już jak dawniej, przychodzić do owego Wizytkowskiego klasztoru, i i wyczekiwać tam całemi godzinami przed kratą lub bawić się rysowaniem po ścianach brzydkich zakonnic, albo kalligraficznem wypisywaniem na murze po raz setny przynajmniej całkowitego nazwiska swego.

Ojciec był wesół i dowcipny. Nie raz tedy, gdy rekolekcyje te nudziły go kaducznie, a przychodziła nareszcie do kraty zakonnica furtyjanka, ze spuszczonym do ziemi wzrokiem i zapytywała:

— W imię Boże—kto tam?

Ojciec, żartując sobie, cienkim głosem odpowiadał:

— Zakonnica.

Wtedy furtyjanka podnosiła oczy do góry, i patrząc z ukosa na pułkownikowskie szlify i ostrogi jego wzruszała ramionami, a odchodząc powoli — aby o wizycie mátkę uwiadomić niezadowolona mruczała pod nosem:

— Hm, zakonnica! Piękna mi zakonnica w ostrogach i przy pałaszu!

Ojciec dobił się ręki matki, niesłychaną cierpliwością i wytrwaniem. Kochał ją gorąco, ale z dziadkiem nieboszczykiem nic poradzić nie mógł.

Dziadek nie lubił szlifów oficerskich, mówiąc że wszyscy oficerowie to wartogłowy i i wietrzniki, a szczęścia kobiety nie zapewnią. Córki więc swej jedynaczki, za nic żadnemu z nich oddać nie chciał.

Ojciec przecież, mimo że się nawet z matką widywać nie mógł, statecznym w miłości dla niej pokazał się, czekając i czekając bez końca.

Bóg wreszcie, wzajemną tę niechęć dziadka i ojca uśmierzył, powoławszy pierwszego do chwały swojej.

Ojciec, śliczną Pepi kochał do szaleństwa, ale był on przy tem i nieprzejednanym dziadka antogonistą. I nie mógł mu nigdy darować że z tak nędznego powodu jak uprzedzenie do munduru, szczęście własnego dziecka odtrącał; nie starając się nawet bliżej poznać konkurenta do córki, ani poczciwości charakteru jego i przymiotów.

Dziwne bo też było poznanie dziadka z ojcem, i już od pierwszego widzenia ze sobą na nieprzyjaznej stanęli stopie.

Ojciec przybywszy do Sandomierza, poszukiwał odpowiedniego stopniowi swemu pomieszczenia a dom dziadka był w mieście najpokaźniejszy. Zażądał więc tam kwatery.

Ale dziadek, był zawsze w złym humorze, ilekroć przerwano mu drzemkę poobiednią a właśnie, uczyniono to teraz dla ojca. Wyszedłszy zatem bardzo markotny, i spojrzawszy na pułkownikowskie oznaki jego siedzieć go nawet nie prosił. Dowiedziawszy się nadto z jakiem przybył żądaniem, cały pąsowy, zbliżył się szybko do stojącego na środku wielkiego dębowego stołu, i silnie uderzając weń ręką natężonym głosem zawołał:

— Pułkowniku! pan tu stać nie będziesz!

— Dla czego?

— Bo ja tego nie chcę!

— A — rzuć ognia! Tego już było za nadto!

Ojciec, dawny legijonista, gorączka, przyzwoitem wreszcie żądaniem żadnego nie dawszy powodu do tak grubej niegrzeczności srodze tknięty impertynencyją dziadka przyskoczył natychmiast z drugiej strony, i jeszcze silniej uderzając pięścią w stół, z gniewem zawołał:

— Jak to! nie będę? Otóż na złość tutaj właśnie stanę!

— Nie staniesz pan!

— Stanę powiadam!

— Pułkowniku!

— Panie.

I trwałaby ta sprzeczka bez końca lub co gorzej przy burzliwym temperamencie obudwu przeciwników, krwawym zakończyła pojedynkiem, gdyby na szczęście matka będąca w drugim pokoju, posłyszawszy hałas ten i tłuczenie w stół pięściami, a kłótnią zajadłą, nie była nagle wpadła do stołowej komnaty.

d. c. n.

O SPOŁECZNEM STANOWISKU
I WYCHOWANIU KOBIET.

PRZEZ

Bronisława Trzaskowskiego

Dyrektora Wyższej Szkoły Żeńskiej w Tarnowie.

(ciąg dalszy).

I otóż drugi powód ważności wychowania kobiety. Lecz zadanie kobiety jako żony i matki nie wyczerpuje jeszcze całego jej powołania w rodzinie. Ma ona być także gospodynią domu. Jest to powołaniem każdej kobiety, nawet tych, których opatrzność na żony i matki nie powołała. Bo kobieta jest z natury swojej przeznaczoną na kapłankę domowego ogniska, dokąd wszystko, młodzi i starzy, mąż i dzieci, słudzy i domownicy ustawicznie dążą, gdzie ochłody i spoczynku szukają i nowe siły do dalszej pracy czerpią. Rodzina i dom to królestwo kobiety, to jej żywioł, to główne pole jej działania i popisu. Odwołuję się w tej mierze do powszechnego przekonania, że gdzie nie ma matki i gospodyni, tam prawdziwe sieroctwo, tam nie ma domu i rodziny. Tylko obecność matki i gospodyni budzi to pełne uczucie rodzinnego domu. Nie twier-

---

czyli kurs nauk w progimnazyjach rządowych, albo w odpowiadających im zakładach prywatnych, po złożeniu jednakże egzaminu z języków rosyjskiego i niemieckiego. Przychodzący zaś z domowej edukacyi, oprócz egzaminu z tych języków, obowiązani będą złożyć egzamin z całkowitego kursu 4 klas progimnazyjalnych.

Młodzieńcy, którzy przedstawią świadectwa z ukończonych wyższych klas gimnazyjum, albo szkół realnych, będą mogli wstępować do pierwszej niższej specyjalno-handlowej klasy, jeżeli przytem złożą egzamin z dwóch wyżej wymienionych języków. Nadto do klasy pierwszej specyjalno-handlowej mogą być przyjmowani młodzi ludzie, zostający w obowiązkach przy miejscowych kredytowych, handlowych, lub przemysłowych zakładach, jeżeli przedstawią świadectwo z ukończenia czterech klas gimnazyjalnych.

W przyszłym roku otwartą zostanie klasa przygotowawcza, pierwszy zaś kurs specyjalno-handlowy tylko w razie zgłoszenia się dostatecznej liczby kandydatów.

Roczna opłata wynosić będzie w klasie przygotowawczej rs. 50, w klasach specyjalno-handlowych rs. 75.

Dyrektorem Zakładu będzie p. Stanisław *Przystański*, b. profesor Szkoły głównej i dziekan wydziału fizyczno-matematycznego.

Czy wiecie szanowni czytelnicy, jak się piszą korespondencyje do pism prowincyjonalnych. Sądzicie zapewne, że potrzeba zebrać wiązankę najdonioślejszych faktów, charakteryzujących dobitnie obecne stadyjum życia społecznego, słowem streścić cały jego rozwój, aby ta cząstka publiczności prowincyjonalnej, która nie zagląda często do pism warszawskich, miała odzwierciedlone w krótkim szkicu najważniejsze tętna rozwoju społecznego w głównem ognisku jego. O! mylicie się grubo! Zapytajcie się pana *Sina-ira*, autora Kroniki Warszawskiej, literackiej, artystycznej i brukowej w *Gazecie Kieleckiej*. Przeczytajcie jego korespondencyją. Dowiecie się o atmosferze, kurzu, asfalcie i innych niedogodnościach pory ogórkowej. Ze sfery literackiej, dowiadujemy się tu, że zastrzelił się w Łazienkach drzeworytnik z Kłosów, Neuman; ze sfery artystycznej, że literatura klasyczna u nas drzemie. Oto cała wiązka faktów, oto wierny obraz życia naszego, który autor zasyła uboższej w duchu braci prowincyjonalnej.

Kielce będą posiadały wkrótce *czytelnię publiczną*, założoną staraniem p. *Siennickiego*, redaktora miejscowej gazety. Pochwalamy zaiste ten zamiar szlachetny. Mając jednakże przed oczyma niebardzo stary przykład, obawiamy się, aby nie było więcej ofiarujących książki, niż czytających takowe i aby nie utworzyła się tym sposobem wspaniała świątynia wiedzy, na pożytek różnego rodzaju gryzącym istotom, którym bibuła smakuje lepiej, niż pewnym indywiduom, niefortunnie stworzonym dla raju doskonałości umysłowej. Ha! może przez pół roku czasy się zmienią. *Tempora mutantur, et nos mutamur!*

Do ciebie się tu zwracamy specyjalnie o szlachetna młodzieży prowincyjonalna, wy młode latorośla, na których słabe barki społe-

dzę ja bynajmniej, jakoby kobieta nie mogła być zdolną do wyższych ogólniejszych zajęć. Chrześcijaństwo i oświata, które kobietę z dawnej wyswobodziły niewoli i przynależną czcią otoczyły, przypuściły ją także do samodzielnego udziału w pracy około wyższych zadań ludzkości i jak sądzę, rozszerzą ten udział z czasem jeszcze więcej. Lecz chociażby udział ten niewiedzieć jak rozszerzono, chociażby ster losów świata w ręce kobiety złożono, nie może się ona jednak nigdy wyrzec obowiązków domowych, jeżeli się swej kobiecej istoty wyrzec nie chce. Pomimo najwyższego udziału w sporach mężów i w walkach publicznego życia zawsze powinna ona strzedz domu jako przybytku pojednania, jako świętego schronienia, gdzie walka rozwaśnionych żywiołów ustaje i błogi kwiat pokoju jeżeli nie dla obecnego, to dla przyszłego wyrasta pokolenia.

A teraz pytam, co to jest właściwie gospodyni domu, jakie są jej obowiązki, jakie zadanie?

Prawdziwą gospodynią domu nazywam tę kobietę, mówi Estkowski, co cały zakres gospodarstwa domowego z pełną wiadomością i znajomością rzeczy ogarnąć i poprowadzić umie, a więc, która się staraniem około dzieci i domowników, pieczą nad chorymi, bielizną, kuchnią, ogrodem samodzielnie zająć potrafi. Nie wchodzę teraz bynajmniej w to, gdzie się tego wszystkiego kobieta ma uczyć; ale to tylko utrzymuję, że gospodarstwo domowe należy do powołania kobiety. Bo niezawodnie większa część naszych córek przyjdzie kiedyś w to położenie, że będzie musiała chodzić około dzieci, pielęgnować chorych, starać się o kuchnię, bieliznę, ogród i t. p. Czyż sądzimy że to wszystko po ślubie samo do głowy wejdzie, albo, że Duch święty zstąpi na młodą mężatkę i nauczy ją tego wszystkiego? Ileż to niewiadomość tych rzeczy kosztowała nie jedną młodą mężatkę przykrości, ile gorzkich doświadczeń, ile łez! Ileż to małżeństw, mianowicie w klasach niższych i średnich, byłoby szczęśliwszych, gdyby nauka ta przed ślubem się odbyła? Ileżby na tem zyskała godność gospodyni domu, gdyby ją w tej mierze lepiej do stanu małżeńskiego przygotowano! Wiadomo każdemu, jak dobra gospodyni i przy skromnym dochodzie przez rozumną gospodarność i porządek dobro domu pomnaża, zła przeciwnie i przy największych dochodach nędzę i wieczny niedostatek w dom wiedzie. „Przy dobrej żonie — mówi Rej — wszystko się spożyć i mnożyć będzie około ciebie, jakoby wianki wił.“ Trzeba więc zawczasu uczyć i wzwyczajać córki do porządku, pilności, oszczędności, gospodarności i wszelkich zręczności, które zdobią dobrą gospodynię. Wielka część tego wszystkiego, a mianowicie zasady i podstawy dadzą się teoretycznie nauczyć, muszą więc wejść koniecznie w plan naukowy szkół żeńskich. Objaśnimy rzecz przykładem. Staranie o zdrowie dzieci i domowników jest niezawodnie jednem z pierwszych zadań gospodyni domu. Zdrowie zaś zawisło w znacznej części od pokarmu i napoju, od snu, odzieży i pościeli, od mieszkania i wpływu powietrza. Aby zaś wiedzieć, który pokarm lub napój służy zdrowiu, a który szkodzi, jakiej odzieży i pościeli potrzebuje dziecko, a jakiej osoba starsza, co należy czynić, aby w izbie było powietrze czyste i zdrowe, aby się nie przeziębić lub zbytecznie nie rozgrzać, potrzeba przedewszystkiem znać ciało ludzkie, jego ustrój i budowę, trzeba znać skład potraw i napojów i proces w żołądku, trzeba znać wpływ powietrza na ciało ludzkie i wiele innych rzeczy. Potrzeba zatem, aby przyszła gospodyni domu wyniosła ze szkoły główne zarysy nie tylko nauki przyrody, ale także somatologii. Nie jedna młoda matka zachowałaby w karmieniu dziecka większe umiarkowanie i więcej porządku, gdyby wiedziała, jak zbyteczna w tej mierze skwapliwość nietylko jej zdrowie powoli niszczy ale i dziecku szkodzi, nie zostawiając mu potrzebnego do strawienia pokarmu czasu. Jeżeli przy karmieniu, mówi Estkowski, przesądny zwyczaj zatruwa młode życie dziecięcia koperkami i różnego rodzaju ziółkami, to przy odziewaniu nieświadomość lub próżność matek jeszcze cięższe popełnia grzechy. Żadna matka nie krępowałaby kilkumiesięcznego dziecka powijakiem, ani niedorosłej córki sznurówką, gdyby wiedziała, że każda istota tylko dowolnem członków poruszaniem do sił przychodzi, że sznurowanie najszkodliwiej wpływa na organa, które w bezpośrednim związku z samem życiem zostają.

Poznaliśmy trojakie zadanie kobiety w życiu rodzinnem: zadanie matki, żony i gospodyni domu. Postawiliśmy je zaś na pierwszem miejscu dla tego, że rodzinę uważamy za główne pole działania kobiety. Atoli kobieta jest nietylko żoną, matką i gospodynią domu, ale także i obywatelką, powołaną do dzielenia losów państwa wraz z mężem i całą rodziną, ale także członkiem wielkiej społeczności ludzkiej, a jako taka musi ona mieć znowu pewne prawa i pewne obowiązki. Są wprawdzie ludzie, którzy całe i wszelkie działanie kobiety chcieliby ograniczyć li tylko do rodzinnego domu, którzy samo postawienie kwestyi społecznego stanowiska kobiet uważają za znak poczynającego się zepsucia naszych towarzyskich stosunków i odrzucają takowe z góry jako nie usprawiedliwione. Na to przesądne i niesłuszne zapatrywanie odpowiadamy, że każdą sprawę społeczną godzi się umiejętnie rozbierać, bez względu na to, jakie mogą być wypadki tego badania. Nie przeczymy, że jest to jedna z najtrudniejszych kwestyj; chodzi tu bowiem o pogodzenie tradycyi, co ma za sobą powagę i siłę lat tysiąca, z wymaganiami postępu i wyrosłych zeń nowych potrzeb społecznych; a pogodzenie to wtenczas szczególnie okazuje się trudnem, jeżeli walczące strony wyczerpnąwszy cały zapas loicznych argumentów odwołują się do uczucia, co właśnie przy obecnym sporze zachodzi. Kiedy bowiem zwolennicy radykalnych na tem polu reform z postawionej przez się niezachwianej zasady równej osobistej wolności obojej płci z całą konsekwencyją ścisłej loiki sprawy swej bronią, wskazują rzecznicy obecnego stanu rzeczy na delikatność kobiecego uczucia, jako

---

czeństwo złożyło przyszłe losy swoje, powąchajcie choć, tej nieznanej strawy! Kto wie może zasmakuje wam lepiej od gimnastyki i bilardowej lub ciężkiej pracy zadawania szyku wobec uroczych twarzyczek... Przypomnijcie sobie, drogie robaczki, prawdę, którą wypowiada jeden z bardziej może znanych wam podręczników szkolnych, że człowiek stworzony jest na obraz istoty Boskiej. A my wam jeszcze jedną myśl dorzucimy do mózgownic pustych. Droga do działalności, to droga pracy rzetelnej, na której wiedza tylko jasną przyświeca pochodnią. A wam tak ciemno, tak brak światła, chociaż i bez tego nieźle się jakoś wiedzie na drodze życia. Nie budźcie się więc, jeżeli wam błogo w tem bezwiednem upojeniu. Satis!..

Szanowny Redaktorze!

Mzurów dnia 31 Lipca 1875.

W numerze 27 Opiekuna Domowego z dnia 8 Lipca r. b. w artykule wstępnym do Czytelników, Redakcyja otwierając szpalty swojego pisma, mianowicie dla matek rodzin, zawezwała o nadsyłanie uwag, spostrzeżeń, co do błędów i niedostatków w wychowaniu. Opiekun Domowy w okolicy mojej ma dosyć prenumeratorów, dla tego na jednem liczniejszem zebraniu parafijalnem, szeroko w tej materyi rozprawiano. Zdrowe i rozsądne rady sypały się ze wszystkich stron, najwięcej od pań naszych. Z prawdziwą radością i dumą nawet słuchałem ich i byłem pewny, że Opiekun Domowy, zasypanym będzie, różnemi ważnemi zasługującemi na polemikę spostrzeżeniami a bez wtrącania się do tego starego Ex-Bociana, obejdzie się.

Tymczasem pomiędzy zebranymi znajdowali się pan Izydor, pan Kacper i pani Anastazyja którzy rozprawami swemi niedorzecznemi, plotąc trzy po trzy, smalone duby i do niczego niepodobne głupstwa, tamowali serdeczną, szczerą, wzięcia się do pióra na wezwanie Opiekuna Domowego w ważnej bardzo kwestyi ochotę.

Niechcąc długo rozpisywać się, nad zacofanemi zdaniami wyżej wyrażonego *Triumviratu*, ograniczam się na złożeniu raportu Redakcyi, jak postępują w wychowaniu swych dzieci składające go indywidua.

Primo pan Izydor.

Dyktator w swoim domu, pragnący mieć podobną władzę w całej parafii, oprócz pierwszej osoby zaimku osobistego „*ja*“ innych nieuznający, przez co fałszuje i tak dość mizerną gramatykę parafialną. W dzisiejszych dążących do postępu czasach, najzdrowszych rad, wyżej wykształconej żony nie słucha, która znudzona ustawiczną opozycyją, daje za wygraną, chociażby mogła i powinna, kiedy idzie o wychowanie dzieci, gdyby nawet gwałtem wprowadzoną emancypacyją, skierować postępowanie na lepszą i właściwszą drogę.

Edukacyja odbywa się tu, podług rozkazów Naczelnego Wodza, bez względu na zdolności i chęci chłopców—nie obejrzawszy im nawet i nieobmacawszy, podług systemu Galla, guzów na głowie, do czego mogą być usposobieni—pan Izydor, niecofnionym wyrokiem przeznacza—Wicusia na doktora, Cesia na apteka-

jedynie w tej sprawie decydującą. Jednakowo już najpowierzchowniejszy pogląd na dzieje postępu ludzkości poucza, że społeczny stosunek obojej płci nie da się faktycznie, ani prawnie sprowadzić do prostej i stałej formułki. Widzimy, jak wszędzie tak i tu, ciągłe zmiany, a społeczne stanowisko kobiet w świecie chrześcijańskim jakże ogromny okazuje postęp, jeżeli je z erą przedchrześcijańską porównamy. Jednakowo przy całym tym postępie nie można nie widzieć stałych i zasadniczych różnic w powołaniu obojej płci. Zresztą sama różnica wzrostu i kształtu ciała, i różny wymiar sił fizycznych i wytrwałości wskazuje na różne usposobienie duchowe, i różne właściwości charakteru, temperamentu i skłonności. A co najważniejsza rodzina ta, podstawa wszelkiej społeczności ludzkiej, spoczywa na tej różności powołania obojej płci i na wyrównaniu i uzupełnieniu jednostronnych jej skłonności i zdolności. Otóż według tej miary, jaką podaje faktycznie i prawnie istniejąca rodzina, należy ustanowić normy i dla *tych* stosunków w jakich obie płci i po za kołem rodzinnem do siebie zostawać mają, przyczem osobista wolność stanowić ma uzupełniającą podstawę. Na gruncie więc rodziny z jednej a osobistej wolności kobiety z drugiej strony należy oprzeć wszelkie badania nad jej społecznem stanowiskiem. *)

Z tego stanowiska wychodząc pytamy, czy dotychczasowe granice społecznego zakresu działania mężczyzn i kobiet odpowiadają zasadom sprawiedliwości, i jakie koncesyje bez narażenia najważniejszych zadań społeczeństwa można uczynić tym, co się rozszerzania tego zakresu domagają. Rozumie się samo przez się, że badając te pretensyje nie można wychodzić od przypuszczenia duchowej i moralnej przewagi płci męzkiej, bo takie przypuszczenie nie ma rozumnej podstawy — ale owszem od równości obojej płci nietylko co do osobistej wolności ale także co do moralnego i umysłowego uzdolnienia.

Tej zasadniczej myśli równego uprawnienia odpowiadają najistotniejsze przepisy dzisiejszego prawa cywilnego na całym kontynencie Europy. Wola samoistnej kobiety doznaje w stosunkach prawnych prawie tego samego uszanowania, co wola mężczyzny. Inaczej było w wiekach dawnych, a prawie nie podobna do wiary, że w Anglii utrzymało się po dziś dzień dawne prawo, stawiające dorosłe kobiety na równi z kalekami, dziećmi i obłąkanymi. Według zwyczajnego prawa angielskiego nie spada na kobietę odpowiedzialność za zbrodnię popełnioną w obecności męża; prawo angielskie przypuszcza bowiem, że małżeński władca powinien mieć dosyć siły, aby powstrzymać żonę od popełnienia wszelkiego występku. W razie zaniedbania tego obowiązku ponosi on karę, a szkody wyrządzone przez kobiety stoją na równi ze szkodami wyrządzonemi przez zwierzęta domowe. Dzisiejsze kobiety angielskie kwitują z tej grzeczności i opieki średniowiecznego prawa i domagają się całej odpowiedzialności za wszelkie swe uczynki.

W zupełnie różnym stosunku do prawa prywatnego i karnego stoi do postulatów kobiecych prawo publiczne w gminie, kościele i państwie. Czynny udział w sprawach rzeczy pospolitej, urzędy publiczne, prawo wyboru i wybieralności, obowiązek i zaszczyt służby wojskowej wszystko to dzierży jedynie płeć męzka. Prawo stowarzyszenia w niektórych państwach, jak np. w Prusiech, niedozwala kobietom udziału w politycznych stowarzyszeniach, a procedura karna niektórych krajów nie cierpi nawet obecności kobiet przy publicznych zresztą posiedzeniach sądowych.

Kiedy na kontynencie Europy głosy tych, coby stosunek ten z gruntu zmienić pragnęli jeszcze w bardzo znacznej znajdują się mniejszości, dokładają w Anglii i w Ameryce wielkiego starania, aby otworzyć kobietom zamknięte dotychczas dla nich publicznego życia podwoje. Na pierwszem miejscu postawiono w tym względzie domaganie się prawa czynnego wyboru, a liczne i poważne dzienniki, jako też znakomici uczeni i mężowie stanu, jak np,. Stuard Mill, profesor Fawcett, d'Izraeli i wielu innych stali się w angielskim parlamencie rzecznikami tych dążności, a izba deputowanych brała przedmiot ten już kilkakrotnie pod obrady; i nie można zaprzeczyć, że argumenta, które rzecznicy tych dążeń przytaczają, każdy nie uprzedzony umysł przekonać muszą. Nie należy się atoli łudzić, jakoby pomyślne tej sprawy rozwiązanie w niedalekiej przyszłości nastąpić mogło. Powszechny bowiem zwyczaj i tradycyja silniejsze są niż najdowcipniejsze wywody i loiczne konsekwencyje. Na kontynencie Europy zaś nie zajęła nawet ta sprawa miejsca między przedmiotami politycznej dyskusyi. Nie będziemy się więc nad nią bliżej zastanawiać. Jedna atoli rzecz zasługuje tutaj na szczególną uwagę. Przeciwnicy rozszerzenia dotychczasowego zakresu działania kobiet na sprawy publiczne twierdzą, że kobiety nie mają do tego odpowiednich zdolności — i że przypuszczenie ich do życia publicznego zachwiałoby podwaliny rodziny. Oba te twierdzenia zbija aż nadto doświadczenie zrobione w Anglii. Mało jest tam gałęzi publicznej administracyi i polityki, gdzieby działanie kobiet nie okazało się bardzo pomocnem i skutecznem. Przytoczę bodaj kilka przykładów. I tak panna Fry należy tam do reformatorów więzień angielskich. Obok Howarda położyła ona największe na tym polu zasługi. Pani Chisholm imię wyryte jest głęboko w dziejach kolonizacyi australskich. Panna Mary Carpenter liczy się do najgruntowniejszych znawców zakładów więziennych a pisma jej w tym przedmiocie drukują się nietylko w Anglii ale i za Oceanem. Założyła ona w Brystolu wespół z wdową po Byronie dom poprawy dla opuszczonych dzieci, który cała podziwia Anglija. Zwiedziła niedawnymi czasy Indyje i zbadała więzienia Bengalskie i szkoły Misyjonarzy. Reformując szkoły indyjskie sta-

*) Dr. Holzendorf. Über die Verbesserungen in der gesellschaftlichen und wirschaftlichen Stellung der Frauen.

---

rza a Kubusia na księdza, bo z tych tachów, jak sądzi, największy będą mieli dochód—a chociaż żaden z chłopaków do postanowień ojca zastosować się nie ma chęci, marząc o innem powołaniu— gwałtem ich drogą przez siebie postanowioną kieruje.

Cóż to będzie z każdego z nich, za doktor, aptekarz lub ksiądz?—dochody być mogą jakie takie — nie idzie tu zresztą o potomków pana Izydora—ale jeżeli szczególnym zbiegiem okoliczności, dostaną się wszyscy trzej mimo swej woli wykształceni, wbrew powołaniu, do jednego naprzykład miasteczka, doktór będzie pisał recepty, aptekarz fabrykował lekarstwa, ażeby ksiądz brat, częstsze wyprawiał eksportacyje i pogrzeby—społeczeństwo ludzkie z ciężkiej i niedorzecznej winy p. Izydora, wiele ucierpieć może.

Secundo pan Kacper.

Dziedzic dóbr ziemskich Małej Wólki. Ojciec dziewięciorga dzieci, pięciu synów i czterech córek, kochający rodzinę swoję nad życie, utrzymujący na Małej Wólce, guwernera niemca, guwernantkę francuzkę, bonę szwajcarkę za pośrednictwem jakiegoś domu oszustw i wydrwigroszów w Wrocławiu, sprowadzonych, a przytem—cztery cuganty, kocz, wolant, stangreta, lokaja, kucharza starsze i młodsze panny etc: gospodarujący znakomicie, bo z niewielkiego folwarku, wszelkie wydatki zaspakaja i istotnie cudów dokazuje. Chłopaki ubrane zawsze elegancko i zbytkownie, dziewczęta starsze z koczkami i ogonkami, młodsze świątek czy piątek jak laleczki — wszystko na oko przecudowne — ale — dziateczki kochane bez resorów nie wyjadą z domu — nieoczyszczą sobie sukienekniеoszyją i niezreparują nic nieposłużą — najmniejszy wietrzyk szkodzi, barszczyku z ziemniaczkami, mleczka, bigosiku, kluseczków, kaszki ze słoninką znieść nie mogą, Cóż się stanie? jak po najdłuższym życiu rodziców, Wólkę, cugi, kocze, stangreta, lokaja, kucharza i panny służące, podzielić trzeba będzie na dziewięć części? Stanie się to — co się stało w okolicy tutejszej z czterma braćmi w podobny zupełnie sposób wychowanymi, którzy cztery wsie pozostałe po rodzicach, podzieliwszy pomiędzy siebie, każdy na $^{1}/_{4}$ części odebranego w podziale majątku, takie prowadził życie —do jakiego go od dzieciństwa rodzice przyzwyczaili. Po kilku latach, majątki przeszły w obce ręce a panowie ci, nie mając usposobienia, zdolności i wykształcenia do innych zajęć, boć ich do tych guwerner niemiec, guwernantka francuzka szwajcarka i bona przysposobić nie byli w stanie paplanie dwoma lub trzema językami, bębnienie po fortepijanie — skakanie źle lub dobrze po podłodze w nieszczęściu utrzymania życia niedadzą — dziś nie śmiejąc chleba prosić —znajdują się z winy rodziców w stanie przyprowadzającym do rozpaczy.

Tertio pani Anastazyja.

Jeszcze przed zjawieniem się emancypacyi wyemancypowana obsadziła poczciwego małżonka na gospodarce w dobrach, a sama z jedynakiem Maryjankiem, celem wykształcenia tegoż mieszka w mieście i tylko na święta i wakacyje na wieś zjeżdża.

Jakkolwiek bądź Katarzyna Joubert, dzielnym był żołnierzem, Maryja Weber wyśmienitym muzykiem, Marja Farina znakomitym

ra się wyzwolić tamtejsze kobiety z wiekowej niewoli i upodlenia i podnieść je do poczucia godności ludzkiej. Angielscy mężowie stanu przywiązują wielką wagę do jej rad i projektów. Panna Florence Hill reformuje zakłady dla sierot i urządza takowe dla młodych zbrodniarzy, a jedna z jej sióstr zakłada domy pracy dla włóczęgów. Panna Burdett Couts zajmuje się gorliwie i skutecznie kwestyją mieszkań dla robotników, a panna Luiza Twinnig sprawą domów ubogich. Panna Nigthingale położyła znakomite zasługi około reformy szpitalów i lazaretów. Jej bystry wzrok dostrzegł podczas wojny Krymskiej w szpitalach angielskiej armii właściwych przyczyn niezwykłej śmiertelności, których ani wyćwiczone oko starych praktyków, ani władze nadzorcze odkryć nie potrafiły. Przykładów takich możnaby więcej wyliczyć; lecz nie ma tego potrzeby. Zresztą obrady zbierającego się corocznie kongresu dla postępu umiejętności politycznych dają niezbite dowody jak wielostronne i skuteczne są usiłowania kobiet angielskich około poprawy stosunków społecznych. Stały one się tam już ważnym czynnikiem publicznego życia i nikt zaprzeczyć niemoże, że zadaniu temu godnie odpowiadają *).

d. c. n.

GAWĘDY HIGIENICZNE I LEKARSKIE.

VI.

O dyjetetycznem leczeniu chorób.

z Prof. i D-ra Bock'a podał St. W. Łukowski.

Pomiędzy *bezczynnością* t. j. prowadzeniem zwykłego sposobu życia i *połykaniem różnych lekarstw* bez wyboru,—istnieje jeszcze trzeci sposób postępowania z chorem ciałem, mianowicie, tak zwany *sposób dyjetetyczny.* Ażeby sposób ten leczenia wyznaczyć z pożytkiem, potrzeba: z jednej strony, dobrze znać budowę i czynności ciała zdrowego, z drugiej—wszelkie zmiany, powstające w chorem ciele. Taki sposób leczenia może być wskazanym tylko przez rzeczywiście wykształconego i znającego się na rzeczy lekarza. Nie wielka to jeszcze sztuka, umieć przepisać to lub owo ze słynnych lekarstw, przy tej lub innej już rozwiniętej chorobie, albo, jak to czynią homeopaci i publiczność wierząca w homeopatyją, wydostać ze swej apteczki jakiś środeczek, zalecany w jakimś hoeopatycznym poradniku domowym, przeciwko występującym objawom chorobowym. Inna całkiem rzecz, umieć naznaczyć choremu odpowiedni pokarm, napój. powietrze, światło, ciepło lub zimno, spokój lub ruch,—gdyż do tego nieodzowną jest dokładna i głęboka wiedza, oraz wielka ostrożność. Po większej części, pod wpływem pomienionych właśnie działaczy, należycie użytych, przychodzi do zdrowia chore ciało, bardzo zaś—bardzo rzadko wskutek aptecznych lekarstw.

Tak np., w wielu razach, przy cierpieniach zewnętrznych i wewnętrznych, pomaga rzeczywiście ciepło (w postaci ciepłego powietrza, ciepłej wody, okładów, odzieży), nie zaś użyte w tym samym czasie pijawki, wezykatoryje, maście, plastry, środki napotne i in. Podobnież, przy leczeniu wodami mineralnemi, za zdrowiodawcze należy uważać, nie składowe części mineralne w nich zawarte, lecz samą wodę i powietrze; słowem, fizyjologiczne środki lecznicze powinnyby daleko częściej być stosowanemi, aniżeli to dotychczas ma miejsce. Każdy wypadek chorobowy, należy przedewszystkiem zbadać jak najdokładniej, przynajmniej o tyle, o ile to jest możebne przy obecnym stanie nauki. Jeśli zaś choroba nie da się ściśle określić, wówczas należy chociaż postawić całe ciało, a szczególniej część dotkniętą cierpieniem, w przychylnych warunkach dyjetetycznych. Nigdy zaś nie trzeba leczyć na oślep i na chybił-trafił, to tym, to innym środkiem.

Przy każdym stanie chorobowym, wypada używać wszelkich starań, dla spotęgowania i przyspieszenia leczniczej sprawy przyrody, lub, gdzie to jest możebne, wzbudzić przynajmniej taką sprawę, któraby następnie mniejszą sprawiła szkodę.

Należy wreszcie rozstać się z dziecinnem przekonaniem, panującem dotychczas w wielu jeszcze umysłach, że lekarz może za pomocą swych lekarstw wypędzić chorobę z naszego ciała, jakby coś wrogiego, lub puścić swą medycynę na chore narzędzie, podobnie, jak się puszcza psa na zająca, czy też naprawić ustrój w ten sposób, jak to czyni zegarmistrz z zepsutym zegarkiem...

Przyczyny, wywołujące zmianę w odżywianiu i działalności składowych części naszego ciała, są nam nieznane do tej pory, w większej liczbie wypadków; jeśli zaś nawet odkryjemy owe przyczyny, to nierzadko, tracą one swe znaczenie, z powodu, że przestały już działać i w ogóle nie istnieją już wcale.

W niewielu tylko wypadkach, można wynaleźć i usunąć przyczynę choroby, i przez to, jeśli nie natychmiast stłumić stan chorobowy, to przynajmniej skrócić takowy. Nie podobna jest przewidzieć dokładnie zmian, jakie wynikną w ciele, w ślad za działaniem przyczyny wywołującej chorobę; również, nie można naprzód oznaczyć, ani miejsca i stopnia rozwoju choroby, ani jej długotrwałości.

Tak np. jedna i taż sama przyczyna, może u jednego człowieka sprowadzić małoznaczne, krótko trwałe rozstrojenie w pewnem narzędziu, a u drugiego — niebezpieczną, lub niewyleczalną w zupełnie innem narzędziu. Zaziębienie wywołuje np. u jednego, lekki nieżyt (katar) nosa, a u drugiego, przeciwnie, śmiertelne zapalenie osierdzia, lub stałą organiczną wadę serca. Znając chorobę, jej bieg oraz zmiany którym ulega, lekarz może często wywrzeć dobroczynny wpływ na jej zejście, a niekiedy zapobiedz głębszym porażeniom. Kilka przykładów, bliżej rzecz tę zdoła wyjaśnić. O tak zwanym nieżycie, czyli zapaleniu nieżytowem błony śluzowej nosa, nielekarz

*) Dr. Holzendorf j. w.

---

fabrykantem wody kolońskiej. Szesnastoletni nasz Maryjanek, odebrawszy z woli mamy, na Chrzcie świętym żeńskie imię, kierowany przez nią, bez najmniejszego wtrącania się ojca, utracił wszystkie przymioty, jakie w mężczyznie zaszczepione być powinny.

W dziecinnych latach Maryjanek, którego szastający skrzydłami na podwórzu indyk napadł, tak się przestraszył, że z tegu powodu o mały figiel, nie dostał choroby Ś-go Wita. Dziś Maryjankowi w szesnastym roku życia—niewolno wziąść flinty w rękę, żeby się nie zabił — niewolno zbliżyć się do konia, żeby go nie kopnął — musi w czerwcu chodzić w wełnianym szalu mamy i z parasolką, jak Robinson pod równikiem żeby się nie zaziębił lub nie opalił, spać w czepku żeby mu się włoski nienajeżyły, niewolno mu się kąpać żeby się nieutopił—niewolno mu wypić pół kieliszeczka austryjackiego Erlauera, żeby nie dostał, czego Boże broń, zapalenia płuc albo delikatnego mózgu, niewolno mu jeść kolacyi, żeby mu się rak do żołądka nie zakradł—niewolno mu się odzywać do panien, żeby go niezbałamuciły—słowem, wszystkiego mu niewolno.

Dopóki mama dobrodziejka żyje — dobrze, ale jak mama pojedzie na pola Elizejskie? któraż z panien a nawet w najgorszym razie wdów, będzie chciała wziąść w dalszą opiekę takie biedne, znękane, niemogące sobie w niczem dać rady ciele?

Trzy takie wypadki w prowadzeniu młodego pokolenia, które mi się na jawie objawiły Redakcyi Opiekuna Domowego przedstawiam.

Nie srebro ani złoto, nie drogie kamienie,
Doprowadzą do szczęścia, młode pokolenie,
Lecz modlitwa—nauka—praca choćby z znojem
I wszczepiona zasada—przestania na swojem.

Faustyn Świderski.

Odpowiedzi Redakcyi.

Paniom Zofii K. i Maryi H. stałym prenumeratorkom. W N-rze 29 Opiekuna w podanym przepisie robienia octu w domu, a doświadczonym wieloletnią praktyką ilość wody z prostej jedynie pomyłki pióra pominiętą została, a którą tak na żądanie szanownych Pań, jako i całego ogółu łaskawych na nas czytelniczek pragnących korzystać z podawanych przepisów uzupełniamy. Ilość wody do zrobienia octu wedle przepisu podanego w powyższym Numerze jest 10 kwart, stosunek bowiem okowity wynosić powinien 5%.

P. Ołtarzew.... w Riazaniu. Szczegółowy opis kuchni naftowych wkrótce podamy w Opiekunie—wraz z cenami różnych fabryk trudniących się wyrobem takowych. Tymczasem informujemy Szanownego Pana że kuchnie te są bardzo praktyczne i pożyteczne.

P. Władysławowi Sz... I z pod Ż. Brakujące numery może pan nabyć nadsyłając (bez dodatków) za czas od 1 Stycznia r. 1874 do 1 Lipca r. b. opłatę w ilości marek 25.

wie tylko to, że choroba pomieniona zazwyczaj przechodzi sama przez się, bez żadnej pomocy lekarskiej; lekarz zaś wie, że czasem, przy warunkach nieprzychylnych, ze zwyczajnego nieżytu nosa, może powstać stwardnienie błony śluzowej nosa, polip, owrzodzenie a nawet próchnienie kości nosowych. Postara się więc użyć zawczasu wszelkich środków zapobiegających, a jeśli którakolwiek z przytoczonych dopiero co zmian, już powstała, zastosuje odpowiednie środki lecznicze.

Kaszel, zjawiający się przy zapaleniu błony śluzowej dróg oddechowych, przechodzi bardzo często bez żadnego leczenia i ostrożności; lecz niekiedy, szczególniej u dzieci, wślad za nim rozwija się krztusiec (koklusz), dławiec (krup), zapalenie płuc i t. p.; a więc i tutaj, zapobiegające leczenie lepszem jest od każdego innego.

Wykształcony lekarz może nie rzadko ochronić od udaru (apopleksyi), osoby znajdujące się w wieku podeszłym i otyłe, u których ścianki naczyń krwionośnych stwardniały, czy też są zbyt słabe i łatwo pękają od napływu krwi; postępowanie jego w tym wypadku, dążyć będzie głównie do usunięcia wszystkiego, co może spowodować rozerwanie naczyń krwionośnych w mózgu. Cierpiących na dnę (podagrę), niedokrwistość, otyłość, może on uwolnić od wszystkich tych cierpień, jedynie przez wskazanie im odpowiednich przepisów dyjetetycznych; nie mniej, chorym na piersi, znaczną może przynieść ulgę, przez naznaczenie prawideł oddychania, a cierpiącym na żołądek i choroby jelit—przez wybór stosownego pokarmu i napoju. Słowem, lekarz obeznany ze zjawiskami ciała ludzkiego w stanie zdrowia i choroby, może pomódz rzeczywiście w większej części wypadków chorobowych, bez żadnego lekarstwa, a tylko przepisując odpowiednie zachowanie się dyjetyczne. Ciemny gmin zowie to „bezczynnością,“ i miesza prawdziwą umiejętność z zarozumiałością szalbierzy, którzy nigdy nie zbadają chorego i nawet czasami nie widzą go wcale, lub probują na seryjo, podobnie jak homeopaci, tylko przeciw najwybitniejszym zjawiskom chorobowym, całej masy zer, pod nazwą lekarstw.

Lecz cóż sądzi o tem autor i co on radzi robić? Oto, zdaniem jego, każdy człowiek, jak tylko poczuje się chorym, powinien natychmiast *cośkolwiek* przedsięwziąć przeciwko swym cierpieniom, a mianowicie wykonywać to, co profani i niedouczeni lekarze zowią — *niczem* t. j. powinien zachowywać odpowiednią dyjetę, nie zaś prowadzić zwykły sposób życia aż dotąd, kiedy ta ostatnia może okazać się niedostateczną. Gdyby na początku choroby, zachowywano niezbędne warunki dyjetyczne, wtedy bardzo wiele cierpień szybkoby przechodziło, a przynajmniej, nie dosięgałoby takich rozmiarów, szczególniej u dzieci. Lepiej jeszcze, gdyby podczas zdrowia udawano się do umiejętnego lekarza, i według jego rad, urządzono sposób życia; choroby, w takim razie, zdarzałyby się bez wątpienia daleko rzadziej pomiędzy ludźmi, aniżeli teraz.

Tak więc, dla zachowania zdrowia i uniknienia chorób, pożądaną byłoby rzeczą, nie odkładać środków zapobiegających aż do tej pory, kiedy one już nie są w stanie pomódz, jak to u nas zazwyczaj się dzieje. Jakżeż bo istotnie, postępuje większa część lekarzy i nielekarzy w obec choroby?

Wyczekują oni nawet i wtedy, kiedy widzą jasno zbliżanie się objawów chorobowych, dopóki te nie dosięgną takiego stopnia, że o zupełnem przywróceniu zdrowia i mowy być już nie może, i tym sposobem, większa część pacyjentów przechodzi naówczas z rąk jednego szalbierza, do rąk drugiego, ażeby nareszcie, dzięki zgubnej władzy somnambulistów, cudotwórczych doktorów i tajemniczych środków, przedwcześnie zstąpić do zimnego grobu!

Teraz postaramy się zaznajomić czytelnika z temi przepisami dyjetetycznemi, które należy zachować na początku choroby, przy cierpieniach wewnętrznych i zewnętrznych, a zarazem wskazać, kiedy chora osoba powinna koniecznie wezwać rozsądnego lekarza.

Kto poczuje się chorym, powinien, o ile można jak najprędzej, postawić swe ciało, a szczególniej część dotkniętą cierpieniem, w najprzychylniejszych warunkach dyjetetycznych. Zanim jednak wskażemy te warunki, wypada nam powiedzieć słów kilka, o przyrodzonych czynnościach ciała ludzkiego i o powstawaniu w niem chorób.

d. c. n.

Z wycieczki na wieś.

(Dokończenie)

Następna stacyja Chwastów, niegdyś Chwastowszczyzna, bogate dobra stołowe biskupów, najprzód Kijowskich, a potem Łucko-Żytomirskich.

Chwastowszczyzna miała swoje jasne i ciemne dzieje. Jest to bardzo starożytne miasteczko, chociaż nie znalazłem o nim wzmianki w Encyklopedyi Orgelbranda, ani pod imieniem Chwastowa, ani Fastowa, jak je też nazywają. Miasteczko to sławne było swojemi jarmarkami na konie. Przyjeżdżali tu dawniej remonterowie z Austryi. Przepomniała też Encyklopedyja tak wybitną postać, jaką w wieku XVI był w dziejach naszych biskup Kijowski, X. Wereszczyński, autor wielu znakomitych dzieł politycznych. Chwastów, jako dobra biskupie przypomina go nam żywo. Tu on marzył o wypędzeniu z Europy Turków i Tatarów, tu może powstała jego myśl przemienienia Kijowa w mocne miasto obronne przeciwko bisurmaństwu. Wnosił on projekt założenia szkoły rycerskiej dla synów koronnych na Ukrainie. Zamyślał o fundacyi nowego zakonu wojennego, według reguły rycerzy maltańskich; zastępu, któryby strzegł skutecznie wschodnich granic kraju od pogan. Ciężyła mu na sercu myśl o niewoli ludów słowiańskich, jęczących pod ciężkiem jarzmem Turczyna; przemyśliwał tedy pilnie o sposobie, w jakiby takową niewolę z karków braci znieść i złożyć było można. Chciał on wreszcie osadzić i wzbogacić w ludność, pustynie królestwa w krainach ruskich. Były to myśli piękne a nawet praktyczne, z któremi zacny biskup odwoływał się do sejmów, ale się, niestety, nie przyjęły. Dzięki panu Turowiczowi, mamy dziś przynajmniej, zachowane od zguby, w jego Biblijotece polskiej, te potężne pomysły Ks. Biskupa Kijowskiego. Nie tylko myślą samą, ale i groszem własnym gotów był ten rzadki prałat nieść pomoc krajowi, służąc mu dochodami tych dóbr pięknych, jakie posiadał on w Chwastowszczyźnie. Inni biskupi, z wyjątkiem jednego biskupa Cieciszewskiego, odznaczyli się tylko nepotyzmem. Chcieli oni groszem kościelnym uświetnić rody własne, podnieść imię szlacheckie! Pamiętam tu kościołek drewniany, czarny od starości, o naprawie którego biskupi, pobierając wielkie z dóbr intraty, nigdy nie pomyśleli nawet. Dopiero biskup Kacper B., nie posiadający już tych dóbr, jakby wstydząc się za grzechy swoich poprzedników, przeznaczał ze swojej pensyi co rok pewną sumkę na odnowienie kościoła chwastowskiego, poruczając staranie o tem Ks. Błażejewskiemu, który dawniej już kwestą i staraniem własnem, wzniósł śliczny gotycki kościołek w miasteczku Wasylowie, gdzie był proboszczem. Teraz kościół Chwastowski, dzięki tym dwóm kapłanom, wygląda schludnie i posiada w wielkim ołtarzu ładny obraz męki P. Jezusa. Samo miasteczko nigdy nie mogło było, aż dotąd, choć trochę się podnieść; co się raz zabudowało, jako tako, to wnet je niszczył pożar. Są tu wały starego zamczyska, w których nieraz poszukiwano ukrytych skarbów; miejscowość ta bowiem zajmowała niepoślednie miejsce w okresie wojen kozackich, aż do Koliszczyzny, w czasie której wsławił się tu hajdamaka *Szwaczka*. Przejeżdżając przez Chwastów, przypomniałem sobie dawnego proboszcza tej parafii Ks. dziekana G. Sławny on był ze swego skąpstwa i wiele w swoim czasie opowiadano o nim anegdot z tego powodu. Najzabawniejszą tu zacytujemy. Lubił on dobrać czwórkę dzielnych koni, kupić piękny powóz i podsunąć to jakiemu młodzianowi, zabierającemu się do stanu małżeńskiego. Była to spekulacyja, na której zwyczajnie dobrze wychodził, odstępując kawalerowi konie i powóz, częścią za gotówkę, a częścią na poczekanie. Jednej jesieni dobrał on taką prześliczną czwórkę siwych w jabłka koni, do których miał i uprząż stosowną i powóz wiedeński. Ale, niestety, dowiedzieli się o tem złodzieje i postanowili sobie skorzystać z takiej dobrej dla nich gratki. Wkradli się wieczorem jednego dnia do stajni, zaprzęgli konie do powozu, jeden wsiadł na kozioł, drugi do kocza, trzeci wsiadł z tyłu, za lokaja. Od stajni nie można było inaczej wyjechać, jak tylko jadąc koło ganku samego probostwa. *Audaces fortuna juvat.* Wiedzieli oni o tem dobrze, że ksiądz dziekan chowa się zawsze przed gośćmi, więc śmiało zajeżdżają pod plebaniję, woźnica pali z bicza, stają u ganku, wybiega chłopiec, a ksiądz zaczaja się za drzwiami.

— Jest ksiądz dziekan w domu?—pyta głośno jegomość z powozu.

— Powiedz, że nie ma, — szepcze ksiądz chłopcu, że pojechał do chorego.

— Nie ma księdza dziekana w domu, pojechał do chorego—recytuje chłopiec.

— Szkoda! kłaniaj że się mu odemnie, rzecze pan z powozu; furman pali z bicza i kocz wytacza się na ulicę, a ksiądz woła na chłopca:

„Zamknij bramę, zamknij bramę!“ Odtąd nigdy nie słyszano już nic, ani o koniach, ani o koczu wiedeńskim. W kuchni tylko była dość żywa sprzeczka, po odjeździe złodziei: chłopiec mówił, że konie podobne były nieco do księżowskich, ale furman mówił mu na to z dumą, że ani umywały się one do jego jabłkowatych szpaków. Na drugi dzień dopiero przekonało się poczciwe furmanisko, że chłopiec miał zupełną racyją.

Ale powróćmy do dalszego ciągu podróży.

Stacyja Kożanka leży obok sławnej cukrowni, w majętności klucza Białocerkiewskiego hr. Branickiego. Tu niedaleko leżą Trylisy, należące do tegoż majątku, niegdyś miasteczko, znane w dziejach wojen kozackich. O parę stacyj dalej leży stacyja Czarnorudka, należąca do dóbr literata ukraińskiego Eustachego Iwanowskiego, klucza Chałajmgrodeckiego. Tu w Chałajmgródku mieszka obecnie nasz lirnik ukraiński, piewca dum ślicznych, ułożonych w duchu naszego ludu, p. Aleksander Groza.

Dalej leży stacyja *Koziatyn*, wieś, w której niedawno dokonał swego życia Tomasz Padura, sławny z tego, że pisząc w mowie niby gminu Ukraińskiego, niespodzianie pozyskał sobie imię wielkiego poety, imię, które mu zrobili ludzie, nie znający wcale mowy w której on układał swoje pieśni i dumy. Dumy te więcej zasługują na uwagę muzyką, którą układał do nich utalentowany kompozytor i znakomity akwarellista, zgasły już blisko od lat dwudziestu Aleksander Wicherski. Zaprawdę, motywa pieśni więcej są warte od tekstu. Niedawno jeszcze czytaliśmy w *Kłosach*, z powodu przedruku pieśni Padury, dokonanego we Lwowie u Wilda, najfałszywszy w świecie fakt, jakoby pieśni te żyły już w ustach ukraińskiego ludu; fakt ten napotykaliśmy już niejednokrotnie w druku i oświadczamy wbrew temu twierdzeniu to, że jako żywo, lud nasz nigdy nie śpiewał, nie śpiewa i śpiewać nie będzie pieśni, ułożonych w mowie, która wcale nie jest jego mową, a jest raczej jakimś przedrzeźnianiem pięknego języka Ukraińców. Najgłówniejszą rzeczą jest to, że iloczas jest wszędzie fałszywy w mowie Padury, tak samo zupełnie, jak i w dziełku Spirydyjona Ostaszewskiego „*Piw kopy kazok*“. Zaiste język ten nie jest ani polskim, ani rusińskim, a jest to sobie coś *pół psa, a pół kozy*;—żaden ukrainofil nie przyzna się nigdy do niego, a lud nasz powiedziałby pewno, gdyby znał te sławne pienia, że one nie przy nim były pisane, a przeto i zrozumieć ich nie zdoła. Kiedyż, wreszcie, poznają to panowie literaci? Pamiętam, że już przed laty dwudziestu, w Dzienniku Warszawskim, przekonywał o tem dowowodnie czytającą publiczność znawca ukraińskiej mowy Ostap Warenucha. Pamiętać należy o tem, że język ukraiński jest *tonicznym*, więc i wiersz jego różni się całkiem od polskiego *syllabicznego* wiersza. Ani Padura, ani Ostaszewski bynajmniej nie zwracali na to uwagi i pisali wiersze *syllabiczne*. Niezaprzeczenie najbardziej oryginalnym kawałkiem wyrobów Padury jest jego tłumaczenie *Pożegnania Czaild Harolda*, dokonanego z przekładu Mickiewicza. Mówię najbardziej oryginalnym dla tego, że pokazuje wyraźnie, iż wedle Padury poprzekręcać zakończenia słów polskich inaczej niż one brzmią w naszej mowie, znaczyło już to samo co pisać po ukraińsku. Sam niewiesz, czytając tę elukubracyją, czy Padura kpi, czy o drogę pyta. (Przekład ten znajduje się w *Album Warsz.* Wojcickiego; zaprawdę warto go odczytać). Tak przetłumaczyć można w jednej chwili, jakiego chcesz poetę—choćby Krasińskiego i Słowackiego, idzie tu bowiem jedynie o przekręcenie zakończeń wyrazów: ot i cała tajemnica sztuki rymotwórczej p. Padury. Przekonajcież się nareszcie sami panowie i dajcież już raz pokój święty, Tymkowi i jego dumom, czy tylko może *dumie* jego. Zrozumiejcie, że dumy Padury są mistyfikacyją, na której niepoznano się przez pół wieku prawie. Kiedy piękne utwory Grozy poszły dziś prawie w zapomnienie, księgarze drukują sobie „*Śpiewy Tymka Padury*.“ Och! te motywa pieśni Ukraińskich, przecudne, osobliwie wtedy, kiedy słyszy się je nocą letnią, dochodzące zdala, zwłaszcza kiedy powietrze upaja cię wonią świeżo uwiędłego na pokosach siana, a z lasu dolatuje do twego ucha kołatanie drewnianych dzwonków, pasących się w lesie wołów, lub głos fujarki. O! pięknie o tych wieczorach Ukraińskich mówi Słowacki:

Ja, bywało, pieśni wasze,
I wieczornic słucham lubo:
Bywało świecę zagaszę,
Wyjdę nocą na poddasze
I tam, jak za serca zgubą
Tęsknię—słysząc na torbanie
Śpiew—i tańców tupotanie;
To mi i zapachy leśne,
I te głosy lecą wdzięczne;
Od smętności, aż miesięczne,
Z wesołości—aż bolesne...

Ale potrzeba się urodzić na wsi Ukraińskiej aby czuć ten cały urok! Wy tego nie zrozumiecie. Gdyby przecież, jakim cudem, zaleciała was kiedy, letnim wieczorem, woń Ukraińskiego siana, więdniejącego na pokosach, gdzieś na Krakowskiem-Przedmieściu, albo lepiej na Grzybowie lub Franciszkańskiej ulicy,—zatrzymalibyście się z pewnością, wietrząc chciwie w powietrzu tę nową wcale dla was perfumę, którąbyście nazwali zaraz *bouquè de l'Ukraine*, życząc zakropić nią batyst swojej chustki.

Ale dość już tego na dziś przynajmniej; kiedy Redakcyja „Opiekuna“ będzie sobie tego życzyła, to autor tej ramotki, gotów jest, inną razą, obszerniej usłużyć Jej swojem mizernem piórem.

Wojciech Mościcki.

ZA WOJENNYM ŚLADEM

POWIEŚĆ

ZE STEPÓW AMERYKAŃSKICH

KAPITANA MEYNE REID'A

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO

Leokadyi P....

(Ciąg dalszy.)

Operacyja nie trwała długo. Po dwudziestu minutach wzięto nas jednego za drugiego. Byłem okropny ale kopija odpowiadała doskonale oryginałowi. Jednej rzeczy brakowało mi jeszcze a była to rzecz bardzo ważna, nie miałem oto długich warkoczy czarnych, zwiniętych w węża, które ozdabiały głowę Indyjanina.

Wkrótce i ten brak zapełniono. Ostrze noża posłużyło za nożyce, Garej za fryzyjera...

Dziki zadrżał gdy żelazo zabłysło mu nad czołem, sądził bowiem iż się zabieramy do zdjęcia mu skóry z czaszki.

— Nie tak bo też ja myślałem zrobić tę operacyją — szepnął Rube, przypatrując się wzgardliwie Garejowi.— Zedrzej mu kłaki ze skórą razem, Billu kochany chłopcze będzie to i prędzej i lepiej bo oszczędzi nam potrzeby kłopotliwego przygotowywania peruki. Zrób Billu jak ci radzę, zrób tak kochany chłopcze, zedrzej mu skórę ze łba.

Naturalnie Garej nie usłuchał rady bo wiedział zresztą dobrze że mu jej nie dawano na seryjo. Urządzono wkrótce jaką taką perukę i tę włożono mi na głowę a do dobrego efektu dopomogły moje własne dosyć długie i czarne na szczęście włosy.

Indyjanin uśmiechnął się zobaczywszy jaki użytek zrobiliśmy z jego pysznych warkoczów, chociaż był to uśmiech okrutny, bo od pierwszej do ostatniej chwili całej tej sceny ani jedno słowo z ust mu się nie wyrwało.

Śmiałem się i ja pomimo woli.

To oryginalne przebranie, ta osobliwa mieszanina śmieszności z powagą jaka towarzyrzyła przygotowaniom, a ponad to wszystko mina Indyjanina po obcięciu mu włosów—doprawdy kamienie by rozśmieszyła. To też moi towarzysze nie mogli się powstrzymać i parskali na całe gardło.

Włożono mi nareszcie czapkę z piórami na głowę. Na szczęście indyjanin posiadał takową chociaż nakrycie to rzadko się podczas wojny używa a przydało się ogromnie. Pod tym kołpakiem nawet w dzień biały nie podobnaby poznać mego fałszywego pokrycia głowy.

W tej chwili nie pozostawało nam nic już do roboty, gotów bo już zupełnie byłem do odegrania roli.

Ruszyliśmy więc dalej zwolna i z większą jak kiedy bądź ostrożnością, aż dopóki przewodnicy nasi nie zrewidowali całej drogi dokładnie.

Ślady świeże Indyjanina wskazywały że oddział dzikich niedaleko i że lada chwila przyjdzie się nam spotkać z nimi.

ROZDZIAŁ LXXVII.

Chwila ostatnia na wojennym śladzie.

Nie pragnęliśmy spotkania przed zachodem słońca, bo nie było by dla nas korzystnem dopędzić Komanszów w marszu. Przeciwnie gdyby jakiś maruder znalazł się na tyle oddziału i spotkał się z nami, plany nasze bardzoby ucierpiały na tem.

Zostawiliśmy więc dzikim czas potrzebny na rozłożenie się obozu, a maruderom do połączenia się ze swoimi. Z drugiej strony nie ży-

czyłem sobie także przybyć za późno. Rada miała się odbyć wieczorem, jak pisała o tem Isolina, zaraz po radzie nastąpi objęcie łupu w posiadanie. Trzeba więc zdążyć na czas dla jednej i drugiej przyczyny. Rada mogła mieć miejsce zaraz po rozbiciu namiotów. Ponieważ chodziło o syna samego wodza, bo renegat miał to znaczenie u czerwono-skórych, nie można więc przypuszczać zwłoki w decydowaniu.

Zamiarem moim było zbliżyć się do obozu wieczorem, aby mieć możność rozpatrzenia się we wszystkiem, zanim ciemność pokryje ziemię. Chcieliśmy także zapoznać się bliżej z okolicą, żeby wiedzieć jaki w danym razie obrać najlepiej kierunek.

Pochód nasz regulował się do śladów, nasi przewodnicy byli w stanie dawać nam najdokładniejsze, prawie co do minuty objaśnienia o czasie jaki upłynął od zaznaczenia tropu. Sunęliśmy tedy naprzód pocichutku, z oczami wlepionemi w ziemię.

Co do mnie zwracałem się z obawą pewną ku niebu. Z tej strony obawiałem się przeszkody w wykonaniu mojego projektu. Co za zmiana w moich pragnieniach! Jakże one różne były od tych jakie miałem podczas dwu poprzednich nocy!

Ten sam wygląd nieba który tak mię drażnił poprzednio, obecnie wydałby mi się zbawieniem. Poprzednio w pień przeklinałem obłoki, obecnie z całej duszy błagałem Boga o burzę, o ciemność....

A tu ani jednej chmurki na całym firmamencie... Chwila jeszcze a sklepienie niebieskie zabłyśnie milijonem gwiazd świecących. Chwila jeszcze a srebrzyste promienie księżyca, oświecą ziemię jak nie można lepiej.

Nie umiem wypowiedzieć przykrości jaką mi sprawiał widok tego pięknego nieba. Jeżeli nam księżyc będzie step oświecał przedsiewzięcie nasze będzie bardzo niebezpieczne. Byliśmy w porze pełni i nocny goniec miał nam się ukazać zaraz prawie po zachodzie słońca, wielki, okrągły, i prawie tak błyszczący jak tarcza słoneczna... Nic pewniejszego jak ta widna noc księżycowa!

Zbawienna jak pokazuje się teraz była myśl przebrania się mojego, nie na próżno straciliśmy czas żeby je uczynić jak najdokładniejszem. Przy świetle jakie mi groziło, jedyna to rzecz na którą liczyć coś mogłem, jedyna to rzecz co mogła zachować moje incognito.

Ale dzikima dobre oczy i nadzwyczajną przenikliwość—nie mogłem bardzo się spuszczać na moje pożyczane pióra, jeżeli zwłaszcza mówić nam z sobą wypadnie. A właśnie z przyczyny tego tak dokładnego naśladownictwa, z powodu arcy-doskonałej kopii, jaką byłem, przyjaciele oryginału mogą mieć do mnie interes, mogą mnie zaczepić, mogą wypytywać i o to i owo. Bardzo niewiele słów tylko z dyjalektu Komanszów umiałem, jakże tu wykręcić się będzie z rozmowy? Noc się zbliżała a dla mnie zbliżała się godzina uroczystej niepewności. Nasi przewodnicy wysłani naprzód na zwiady długo coś nie powracali, długo coś nie zdawali mi żadnego raportu—zatrzymaliśmy się więc w małym lasku oczekując na ich powrót. Przed nami wznosiła się dosyć wysoka góra, szczyt której porosły był drzewami a ślad wojenny prowadził przez tę górę; widzieliśmy jak dwaj przewodnicy weszli za drzewa, nie spuszczaliśmy oczu z tego miejsca ani na chwilę. Na raz na brzegu lasu ukazał nam się Garej. Poznaliśmy go od razu i zauważyli, że dawał nam znaki aby się zbliżyć do niego.

Bez straty czasu skierowaliśmy konie nasze na górę i wjechaliśmy w las. Posunąwszy się weń trochę zjechaliśmy z drogi. Wprawny przewodnik prowadził nas pomiędzy jakiemiś pniami na sam wierzchołek góry... Na przeciwnym jej brzegu, lasu już nie ma wcale, jest tylko mała kępka drzew ale nie posuwamy się tam bynajmniej. Tu polecono nam się zatrzymać, zeskakujemy więc z siodeł i konie do drzew wiążemy.

Odtąd posuwamy się czołgając na kolanach aż do samego skraju lasu, patrząc uważnie z po za liści na step rozciągający się przed nami. Spostrzegamy dym i ognie z namiotów ze skór po środku. W około tego biwaku widzimy przesuwające się cienie ludzi i koni z głowami nachylonemi do trawy.

Ha to obóz Komanszów mamy przed sobą...

ROZDZIAŁ LXXVIII.

Obóz Komanszów.

Doszliśmy do celu w pożądanej właśnie chwili bo o szarym już zmroku tak, że mogliśmy zupełnie ukryć się sami, widząc jednak dostatecznie wszystkie pozycyje nieprzyjacielskie. Z tego punktu, w całem tego słowa znaczeniu panowaliśmy nad obozem i całą rozległą okolicą!

Pagórek na którymy wjechali, to rodzaj wyniosłości odosobnionej a jedynej na kilka mil do około, obóz zaś rozlega się na płaszczyznie i u stóp wyniosłości o jakiej właśnie mowa.

Śliczne to miejsce ten nasz pagórek obecny. Drzewa krzewy i szemrzący poniżej strumień ze swoją przejrzystą wodą, błyszczącą jak srebrna wstęga przy ostatnich promieniach zachodzą słońca, dodawały mu nieopisanego uroku — i wdzięku.

A jednakże była to pustynia tylko. Ręka ludzka nie przyłożyła się do posadzenia tych klombów, sztuka ludzka nie miała udziału w przyozdobieniu tego cudownego pejzażu.

Po nad brzegiem rzeczki o blisko pół mili stąd odległości rozłożył się obóz indyjski.

Jedno spojrzenie było dostateczne do przekonania, iż trafniejszego nie można obrać było miejsca, nie tyle dla względów obronnych, jak raczej ze względu zabezpieczenia się od jakiej niepożądanej niespodzianki.

Od namiotu wodza stojącego pośrodku do brzegu wody, płaszczyzna pochylała się nieco i była dokoła niby wieńcem otoczona drzewami. Na jej powierzchni odbijały postacie kolorowych wojowników z których jedni stali w postawach niedbałych, drudzy tu i tam się kręcili, inni leżeli powyciągani na trawie, inni wreszcie pochyleni nad ogniami, zdawali się zajęci przygotowaniem wieczornego posiłku.

Szereg lanc powsadzanych w ziemię oznaczał miejsce każdego wojownika, a widać je było dokładnie, bo na długich blisko po pięć stóp mających tykach, powiewały chorągiewki malowane piórami albo ludzkie włosy.

Przy każdej lancy leżał wspaniały puklerz łuk, ładownica i haftowana torba, z różnemi medykamentami a dalej pełno innych przedmiotów najrozmaitszej natury, na które nie mogliśmy patrzeć bez silnego wzruszenia.

Były to kobiety twarze których rozróżnić byliśmy w stanie, kobiety białe, nieszczęśliwe niewolnice.

Z jakiemże silnem wrażeniem wpatrywałem się w te postaci i w te smutne twarze wybladłe.

Ale w każdym razie za daleko były od nas nieco i kochanka nawet oko nie mogło zbyt stanowczo pokonać odległości. Konie ustawione w rzędzie po jednej i drugiej stronie stanowiły jakby wał ochronny obozu.

Jak już wspominałem, miejsce na obóz dobrze było wybrane dla uchronienia się przed jaką niespodziewaną napaścią. Kłąbik drzew o który opierał się obóz, był jedynym który się znajdował na tysiąc co najmniej kroków przestrzeni. Do około a nawet na brzegu przeciwnym wody, płaszczyzna była bez drzew, bez żadnego schronienia, żadnej nierówności, żadnej rozpadliny, żadnego krzaczka ani zarośli, za które mógłby się ukryć nadchodzący nieprzyjaciel.

W takiem miejscu i w takich okolicznościach nie było podobna, ażeby indyjanie obawiali się czegokolwiek, ale ich ostrożność przechodzi prawie w instynkt i pod wpływem tego to instynktu a nie żadnej obawy, rozłożyli się też w miejscu w któremeśmy ich znaleźli. Lasek dostarczył im drzewa, rzeka wody a łąka pastwisk dla koni. Jedno z tych biednych zwierząt zabite na kolacyję—oto wszystko co było potrzebne obozującemu oddziałowi.

Jednym rzutem oka poznałem korzystne ich położenie, a to nie tak talentem żołnierza jak spojrzeniem strzelca i człowieka przyzwyczajonego do wojennych zasadzek.

W znaczeniu wojskowem nie przedstawiał obóz ów punktu obronnego, ale podejść niespodzianie, prawie niepodobna tam było i oto zaleta cała. Niech alarm nie będzie zbyt nagły, niech będzie pięć minut czasu, a stanie się niedostępnym!

W miarę jak przypatrywałem się obozowisku moich przeciwników odwaga ustępowała mi z serca. Niepodobieństwem było dostać się do niego chyba podczas ciemnej zupełnie nocy.

Ta sama myśl musiała się nasunąć moim towarzyszom, bo czarna chmura zwątpienia pokryła naraz wszystkie twarze. Żaden z nich nie odezwał się ani jednego słowa od czasu jakeśmy tu przybyli.

ROZDZIAŁ LXXIX.

Narada.

Patrzyłem ciągle milczący na obóz ale nie mogłem znaleść sposobu zbliżenia się doń niepostrzeżonym. Step w promieniu prawie mi-

lowym był pokryty gęstym kobiercem trawy, trawa ta była bardzo krótką, zaledwie ukryłaby drobną zwierzynę, ale człowiek nie mógłby się w niej schować a tymbardziej koń.

Byłbym się chętnie czołgał na kolanach i rękach przez pół milową przestrzeń, która nas oddzielała od obozu, ale to nie przydało by mi się na wiele, bo czy tak czy owak byłbym z pewnością spostrzeżony przez dzikich albo przez szyldwachy i konie. I gdyby nawet udało mi się dostać do środka i odszukać Isolinę, jakąż nadzieję mogliśmy mieć wymknięcia się cało i zdrowo.

To pewna żeby się rzucono w pogoń za nami a wtedy nie mielibyśmy żadnej nadziei ocalenia, bylibyśmy bowiem dognani i na miejscu zabici.

Zamiarem moim było podprowadzić konia jak można najbliżej obozu, pozostawić go w ukryciu w małej odległości, aby go dopaść uciekając i galopem zemknąć do towarzyszów moich. Ci ostatni o ile by na to pozwalała miejscowość, mieli być jak najbliżej obozu.

Wszelako plan ten tak dobrze niby obmyślany został zupełnie zwichnięty wyjątkową pozycyją Indyjan. Rachowałem na drzewa, na zarośla, na krzaki, albo na jakie rozpadliny, nakoniec na coś takiego co by mi zbliżyć się pozwoliło.

Jak na złość przekonałem się dosyć prędko, iż rzeczywistość nie podobną była do tego co sobie wyobraziłem. Oprócz zagajnika o który opierali się nasi nieprzyjaciele, nie było lasu bliższego jak ten w którym byliśmy obecnie ukryci, a wydostać się z niego znaczyło to samo co dostać się w samo serce nieprzyjaciela.

To też nie śmieliśmy ani jednego kroku naprzód postąpić.

Podniosłem znowu oczy ku niebu ale najmniejszego promyka nadziei, na sklepieniu ani jednej chmurki nie było.

Czy trzeba będzie wyrzec się mojego projektu a przedsiewziąć coś innego dla ocalenia nieszczęśliwej?

Ale cóż zrobić innego?...

W tej chwili przyszła mi myśl możebna może do wykonania ale ogromnie niebezpieczna. Nie wchodziło to przecież w rachubę. Niebezpieczeństwo! nie ma czasu i usposobienia zważać na takie bagatele a zresztą lepsza śmierć aniżeli nie udanie się zamiarów.

Mieliśmy konia niewolnika indyjskiego; bo Stanfield przyprowadził go tu ze sobą. Otóż postanowiłem siąść nań i na nim wjechać do obozu.

(*d. c. n.*)

BIBLIJOTECZKA DOMOWA.

Julijan Odstępca.— Tragedyja w 5 odsłonach przez R. S. Odessa. 1875 r.

W Odessie wyszła tragedyja, tak jest, nie przerażajcie się, tragedyja w pięciu „odsłonach," czcionkami drukarni słowiańskiej Józefa Bukowieckiego. Napis jej *Julijan Odstępca*. Autor ukrywa się pod literami R. S. i jest również jak powiada korespondent „Niwy" z Odessy—„autorem jednego z poważniejszych dzieł w naszej literaturze historycznej." Jeżeliby ktoś, zestawiając tę wiadomość ze swojemi domysłami z powodu tytułu tragedyi sądził, że tu idzie o historycznie nam znanego „Julijana Apostatę," toby się najkompletniej w domyślności swojej pomylił. Idzie tu o kogoś innego; ale kogo mianowicie?—tego autor nie uważał za stosowne objaśniać. Tragedyja bowiem p. R. S. napisaną została w tym duchu ultra-romantycznym, w którym p. Lucyjan Siemieński, radził ongi pisać powieści i sam tego dawał dobry przykład. Chcąc owego ducha zrozumieć, potrzeba się przejąć tą niby „estetyczną prawdą" że dla utworu piękna *obojętną jest rzeczą czas i miejsce*; w nim bowiem chodzi tylko o ideę lub uczucia w kształcie charakterów powszechnie—ludzkich. Co prawda to ani p. Siemieński, ani wyznawca tejże teoryi p. R. S. nie wyszli na niej jak najlepiej. Pierwszy napisał błahą powiastkę nibyto „bez miejsca i czasu," którą można odczytać w jego „Wieczornicach;" drugi *popełnił* tragedyją w pięciu odsłonach, w przeszłym miesiącu podaną publiczności, która zaledwie miała czas ochłonąć — z upałów....

W tragedyi p. R. S. są królowie, królewicze, hetmani, kanclerze, prymasi, jezuici, demagodzy, panowie rady etc; ale wypadki rozsnuwają się tu *gdzieś* i *kiedyś* bez bliższego oznaczenia. Jeszczeby *gdzieś* dało się zastąpić wyrażeniem: Kraj, w którym mówią po polsku; lecz co do *kiedyś*, to on najzupełniejszą zostaje zagadką. Autorowi idzie o ideę demokratyczną, jakoteż o zwalczenie demagogii i zgubnego wpływu jezuitów. Królewicz Julijan, wychowany przez księdza Wincentego, przejął się demokratycznemi pojęciami, dba o mieszczan i lud, pogardza arystokracyją i szlachtą jako wyrodzoną i strupieszałą, nie nawidzi zakonu Jezuitów i machijawelowskiej polityki. Jezuici, pozyskawszy sobie rozpustnika prymasa i chciwca kanclerza, usiłują zgubić Julijana naprzód w przekonaniu jego ojca. A gdy ten, zmiarkowawszy rzecz, jeszcze więcej niż przedtem ukochał syna, chcą weń wmówić, że Julijan nie jest jego synem, ażeby tym sposobem *przez apopleksyją* z powodu nagłego wzruszenia pozbawić go życia i osadzić na tronie ulubieńca swego księcia Zbigniewa. Przez *szczęśliwy zbieg wypadków* szalbierstwo Jezuitów zostaje wykryte; prymas, kanclerz i prowincyjał jezuitów wtrąceni do więzienia a książe Zbigniew sam się przebija, wołając: „Julijanie, zwyciężyłeś." Słowa, mają zastąpić w intencyi autora, dawniejszy wykrzyk historycznego Julijana: „Galilejczyku, zwyciężyłeś!"

Pierwszą myśl do tej przemiany słów mógł podać panu R. S. śliczny wiersz p. A. Asnyka (El-ego) p. n. Julijan Odstępca. Ale wykonanie? Wykonanie jest już niezaprzeczoną własnością p. R. S. z całem dobrodziejstwem inwentarza. Myśl mogłaby być dobrą pod pewnemi warunkami; — wykonanie stoi niżej krytyki. Ani w rozmowie, ani w działaniu, ani w charakterach nie znajdujemy ani jednego rysu, któryby na jakieś odszczególnienie zasługiwał. Rozmowy i rozprawy parlamentarne autor kopijował chyba z dyskusyj knajpowych; charaktery—z manekinów; tak wszystko jest blade, nieudatne, mizerne. Gdybyśmy chcieli popierać te zarzuty dowodami — wystawilibyśmy się na zarzut, że niepotrzebnie z żaby robimy wołu. Ograniczymy się więc na króciutkiem przedstawieniu charakteru głównego bohatera — królewicza Julijana. Jest to młodzieniec, w którym nie widzimy uczuć, lecz podniecony jedynie wyobraźnię i szereg niepołączonych ze sobą ścisłością logiczną frazesów. W tragedyi nigdy nie występuje jako człowiek czynu; lecz tylko jako mierny frazeolog. A już brak konsekwencyi w jego poglądach dowodzi chyba — umysłowego upośledzenia. Raz w pełnem zgromadzeniu „panów rady" odzywa się tak: „Czem są dzieje, *kiedy* (sic!) nie trupiarnią, w której się ryje *trup jutrzejszy*; czem są dzieje, *kiedy* nie Golgotą, na której ukrzyżowano cnotę; czem są dzieje, kiedy nie „memento mori," które ci powtarza wszelkie zgasłe życie. Kto chce być dzielnym i szczęśliwym *niech się nie tknie dziejów*, niech odepchnie nieśmiertelność jaką one dają" (str. 20 i 21). Z tych słów możnaby wnosić, że Julijan jest najjaskrawszym demagogiem, dla którego dzieje są niczem, który wszystko usiłuje zburzyć i jeżeli zdoła, nowy gmach natomiast postawić. Boć jeżeli dzieje są Golgotą, na której ukrzyżowano *cnotę*, jeżeli odepchnąć je musi każdy rozsądny; — to pocóż one w planach naszych zawadzać nam mają? Tak dyktuje zdrowy rozsądek. Ależ kiedy zdrowy rozsądek nie zawsze chodzi w parze z bohaterami tragedyi....

To też nie należy się dziwić, kiedy królewicz Julijan, który tak otwarcie w obec „panów rady" złożył swoje wyznanie wiary demagogicznej, niezadługo potem w obec zbałamuconego przez Jezuitów przyjaciela swego Władysława, zacznie najgwałtowniej zbijać demagogiczne zachcianki i odwoływać się do dziejów jako mistrzyni życia, do *historycznego rozwoju* jako do normalnego rozwikłania się ludzkości któremu na drodze stawać nie godzi się (str. 44 i inne).

Taki to jest charakter tego bohatera idei, u którego jak się zdaje „myśl nie trwała ni godziny." A cóż mówić o innych? Są to figury jasełkowe z nowemi słowami.

P. R. S. jest przeciwny wszelkim demagogicznym marzeniom; wierzy w Opatrzność, kierującą historycznym rozwojem ludzkości, nienawidzi jezuitów, daje zwycięztwo prawdzie i sądzi, że jest dramaturgiem! Może się ktoś znajdzie, kto mu przyzna zdolność dramatyczną, szczęść Boże! Co do nas, nie zwiedzeni dobrymi dążnościami autora, których mu odmówić nie możemy, bez wahania oświadczyć musimy, że „Julijana Odstępcę" zaliczamy do kategoryi utworów przynoszących szkodę naszej literaturze. Znaleść się bowiem mogą tacy, co utwór ten wystawić zechcą jako owoc najnowszego rozwoju naszej dramatyki; a spotkawszy jeszcze jego pochwały, mogą sądzić, żeśmy nie dorośli nawet do tej skali estetycznej krytyki, na której się umie rozróżniać dramat od lichej lepianki rozmów. Stąd też uważaliśmy za konieczne podnieść kapitalne wady najnowszej tragedyi w pięciu odsłonach ażeby przestrzedz jednych a uprzedzić innych. Zdaniem naszem, kto nie ma talentu, sto razy

lepiej postąpi, gdy płody swego ducha odczytywać będzie najbliższym tylko znajomym, nie narażając literatury na szykany.

Dr. *P. Chmielowski.*

GOSPODARSTWO
i
Przemysł domowy.

Czekolada jest pokarmem pożywnym i zdrowym, a różne jej gatunki pochodzą od przypraw, jakie się dodają do masy kakaowej. Kakao używane do wyrobu czekolady, są to ziarna pochodzące z drzewa zwanego kakaowiec (Theobroma cacao), które drogą handlu otrzymujemy.

Najlepsze kakao jest tak zwane *karakas* (Cacao de caraquas), mające ziarna okrągławe, podługowate, na skórce zewnętrznej białe punkta świecące, w kształcie łusek, jądro od skórki łatwo odstające, brunatno-szare, nieco świecące, kruche, oleiste, smaku przyjemnego gorzkawego. Drugi gatunek nieco pośledniejszych własności, licznie prezentuje się w miejscowych handlach pod nazwą *Cacao de Martinique*, jest mniejsze od poprzedzającego, płaskie, mniej tłuste i więcej gorzkie, pokryte gładką skórką, trudno od jądra odstającą, cynamonowej barwy. Kupując kakao po sklepach należy uważać, aby nie było stęchłe i spleśniałe i aby lepszy gatunek nie był gorszym zafałszowany, jak się to często przytrafia nawet w wysoko rekomendowanych handlach. Chcąc zrobić czekoladę należy kakao upalić w piecyku od kawy do tego stopnia, aby popękana łupina łatwo od jąder odstawała, poczem opłukane i oczyszczone z drobnych łupinek tłucze się na proszek i przesiewa przez włosiane sito. Kakao w takim stanie wsypuje się do właściwego naczynia służącego do wyrobu czekolady, tak długo uciera ogrzewając je właściwie, aż zrobiona masa obrzednie, żadnych już w sobie nie będzie zawierać grudek a wtedy dodawszy do niej w równej ilości co do wagi sproszkowanego cukru, po starannem wymieszaniu, wkłada się w właściwe foremki blaszane, trącając o stół aby się masa wyrównała, a gdy zastygnie wyjmuje się z form i zawija w papier. W braku maszyny można ucierać kakao w ogrzanym moździerzu żelaznym ustawionym na cegłach, przestrzegając aby się masa nie przypaliła.

Rozmaite gatunki czekolady jakie rekomendują przekupnie po sklepach wyrabiają się w ten sposób:

1° **Czekolada aromatyczna.** Do sześciu funtów płynnej masy czekoladowej, dodaje się dwa łuty sproszkowanego cynamonu, łut kardamonu i gwoździków, oraz pół łuta wanilii drobno pokrajanej i w moździerzyku najlepiej porcelanowym z cukrem utartej.

2° **Czekolada zdrowia.** Dwa funty utłuczonego kakao jeśli nie w ogrzewanej maszynie, to w żelaznym moździerzu, uciera się na masę, która gdy rozpłynięta, potarta na ręce nie daje czuć w sobie żadnych grudek, miesza się z dwoma funtami sproszkowanego cukru, oraz cztery łuty galarety mchu islandzkiego wysuszonej i na proszek utartej, trzy łuty proszku z salepu, a po należytem wymieszaniu nakłada się w foremki, z których po ostudzeniu wydobyta czekolada, przechowuje się w suchem miejscu. W miejsce wysuszonej galarety można użyć mchu islandzkiego, oczyściwszy go pierwej przez wymoczenie w wodzie z potażem i opłukanie, a następnie po wysuszeniu należy go sproszkować. Dodawszy do masy czekoladowej wilgotnej galarety mchu islandzkiego, lub karagenu (Chrząstnica strzępiasta), lub też jakiejkolwiek galarety owocowej, wtedy na takiej czekoladzie wydzieli się znaczna ilość oleju kakaowego.

3° **Galareta z mchu islandzkiego** wyrabia się w ten sposób: W sześciu kwartach wody rozpuścić dwa łuty węglanu potażu i zmoczyć w niej funt jeden drobno pokrajanego mchu islandzkiego. Gdy płyn ten odciągnie z mchu wszelką gorycz, płukać go starannie w kilku wodach, a potem w świeżej wodzie na wolnym ogniu przez godzinę gotować. Odwar przecedzić przez płótno, wlać na płaskie naczynie miedziane lub porcelanowe i na wolnym ogniu parować do najgęściejszej galarety, w końcu ciepłem zupełnie wysuszyć. W czasie parowania galarety starannie mieszać łopatką drewnianą, aby się nieprzypaliła. Kiedy już zupełnie wyschnie uciera się na proszek, którego łut bierze się na funt masy czekoladowej.

W miarę wydoskonalającej się techniki przemysłowej i jej wytworczych czynników oraz powiększającej się konsumpcyi a wzmagającej konkurencyi wszystkie w ogóle fabrykata podlegają najrozliczniejszym zafałszowaniom. Tej samej kolei ulega również i wyrób czekolady. Dobra zatem czekolada jest koloru jasno-brunatnego, jednostajna w całej masie, w ustach łatwo rozpuszczająca się a jeśli jest przypaloną ma smak i zapach nieprzyjemny. Wyrabiana w celu zbycia jej do drobnych sklepów za tanie pieniądze, dla powiększenia jej wagi, dodaje się do masy czekoladowej proszku mielonej *cegły*, lub mąki zbożowej, grochowej, kukurydzowej, albo też kartoflanej Dla nadania jej pięknego czerwono-brunatnego koloru, dodają cynobru lub minii, bezwzględnie iż substancyje te są szkodliwemi dla zdrowia ludzkiego.

W Hiszpanii gdzie czekolada jest tak powszechną w użyciu jak u nas kawa lub herbata wyrabiają ją w domu na własną potrzebę, gdyż zwykle sprzedawana po tamtejszych sklepach jest zafałszowana proszkiem wysuszonego i utartego chleba święto-jańskiego (Ceratonia siliqua) która to roślina jest tak pospolitą w tym kraju; iż służy za paszę dla zwierząt domowych.

Sztufada. Mięso oporządzone nasolić i naszpikować — rondel wyłożyć słoninką świeżą, nakryć pokrywą i dusić mięso, aby się zarumieniło. Dodać kilka cebul, włoszczyzny, a gdy już jest miękkiem, obsypać trochę mąką, zalać rosołem; osobno ugotować grzybki posiekać dodać z nich sok, zagotować razem, a gdy się ma na stół wydawać, polać przecedzonem sosem. Półmisek ubrać włoskim makaronem oblanym po wierzchu gorącem przyrumienionem masłem z tarkowaną bułeczką.

Mleko. W ogólnej grupie pokarmów przeznaczonych na pożywienie ludziom, mleko zajmuje pierwsze miejsce jako jedyna substancyja specyjalnie na ten cel przeznaczona, zawierająca w sobie wszystkie konieczne części składowe pokarmów i w najłatwiejszej formie do strawienia. Składowe części mleka są: tłuszcz, sernik, cukier mleczny, albumin, woda, niektóre sole rozpuszczalne w wodzie jak mleczan potażu, sody, amonii, chlorek potażu i sody, lub nierozpuszczalne w wodzie jakiemi są: fosforan wapna i fosforan żelaza a które w mleku są rozpuszczone w wolnym kwasie mlecznym, albo zostają w związku z sernikiem. Gatunki mleka rozmaitych czworonogów, różnią się tylko między sobą ustosunkowaniem powyższych składników.

Doświadczenie przekonało, że mleko bydła rogatego, nabiera barwy, smaku i zapachu spożytych roślin, które wywierają ważny wpływ na zmianę zwyczajnych mleka własności. Nakarmić naprzykład krowę krapem czyli marzanną farbierską (Rubia tinctorum), przytulią (Galium verum), podlepczycą nerwistą (G. boreale) i t. p. zawierającymi w sobie barwnik czerwony, mleko po wydojeniu krowy będzie czerwone, stosownie do ilości spożytych roślin.

Na żółto zabarwia się w wymionach krów od szafranu dzikiego (Crocus vernalis), knieci pospolitej (Caltha palustris). Rośliny zawierające w sobie barwnik indygowy jak niektóre gatunki rdestu (Polygonum auricularae et fagopyrum) szczyru trwałego i rocznego (Mercurialis perennis et annua), farbownika lekarskiego (Anchusa officinalis) stojąc długo w otwartem powietrzu, pokrywa się błonką błękitnej barwy.

Po spożyciu roślin aromatycznych, należących do familii wargowych (Labiate), jak mięty kędzierzawej i pieprzowej (Mentha crispa et piperita), szałwii (Salvia officinalis), melissy cytrynowej (Melissa officinalis), mleko mające zwykle smak i zapach słodki jałowy, po wydojeniu posiada te własności odpowiednie powyższym roślinom. Smak gorzki i nieprzyjemny nabywa od roślin familii krzyżowych (Cruciperae) jako to: warzęchy (Cochlearia officinalis), gorczycznika (Erisimum officinale), oraz liści drzewnych w jesieni opadłych. Również drastyczne i narkotyczne rośliny jak koni-trud lekarski (Gratiola officinalis) i inne, również wywierają swój wpływ na wyrabianie się mleka.

Sprzedawane po rynkach i placach publicznych jako wprost pochodzące od krowy, zwykle ma już z wierzchu zebraną śmietankę i rozcieńczone wodą. Tego rodzaju oszukaństwo dochodzi się za pomocą laktometru czyli mlekomierza, który u nas nie ma żadnego zastosowania. Społeczeństwo nasze bowiem doszło zaledwie tego stopnia ukształcenia i cywilizacyi, iż w życiu ekonomicznem posługuje się zaledwie łokciem, funtem i kwartą, nad ten poziom nawet ajenci porządku publicznego nie zdołali się wznieść wyżej. Mleko rozcieńczo-

ne wodą wlane do szklannej pruwetki wkrótce okaże się w dwóch oddzielnych warstwach, wierzchnia żółtawa, od spodu sinawej barwy. Jeśli zamiast wody dla powiększenia objętości mleka, zamiast wody dodano gorącego odwaru ryżu, klejku grucy (kaszy owsianej), rozgotowanego krochmalu lub mąki, przez co zyskuje się naturalna gęstość mleka, podobne zafałszowanie łatwo wykryć, wpuściwszy do kieliszka podejrzanego mleka parę kropel rozcieńczonego jodu, a płyn zabarwi się fijoletowym lub błękitnym kolorem. Odmiany kolorów powyższych zależą od stosunku jodu do skrobi (krochmalu, amylum fecula).

Pachciarze dostawiając mleko na rynki, zaradzają aby się w gotowaniu nie warzyło, dodaniem doń węglanu potażu, sody, lub węglanu magnezyi, dla zobojętnienia kwasu. Zafałszowane w ten sposób mleko jest szkodliwem zdrowiu, zwłaszcza jeśli powyższe alkalia użyte są w nadmiarę, gdyż cukier mleczny przeistacza w kwas mleczny. Jeśli bowiem dodamy do mleka taką ilość węglanu potażu lub sody aż stanie się alkalicznem, w takim razie wkrótce kwaśno reagować będzie, aż dotąd, dopóki wszystek cukier mleczny znajdujący się w mleku przez dodawany potaż lub sodę nie zamieni się w kwas mleczny. W takim razie zręczniejsi fałszerze zwykli dla zamaskowania kwasu dodawać w miarę potrzeby cukru, który można wykryć przez odparowanie części mleka i nalanie na osad wyskoku. Alkohol rozpuści cukier, który za odparowaniem skrystalizuje się. Zafałszowanie powyższemi alkalijami poznaje się po znacznej ilości popiołu, jeśli mleke odparujemy do suchości, a pozostałość spaloną zostanie w platynowym tygielku na popiół. Z czystego mleka otrzymuje się najwyżej $^3/_4$% popiołu, który wyługowany wodą destylowaną, bardzo słabo reaguje alkalicznie i z kwasem się nie burzy, okaże się zaś wprost przeciwnie, jeżeli w mleku był potaż, soda lub magnezyja.

Przypadkowe zanieczyszczenie mleka solami metalicznemi następuje, w razie przechowywania go w naczyniach miedzianych, cynkowych, blaszanych lub glinianych źle polewanych ołowianą glazurą. Podobne zatrucie mleka groźne dla zdrowia ludzkiego sprowadza następstwa; aby go wykryć, należy pewną ilość odparować na porcelanowej parownicy do suchości i otrzymany osad wytrawić kwasem solnym rozcieńczonym czterema częściami wody. Wytrawienie powtórzyć takąż samą mieszaniną i w płynach przefiltrowanych i podparowanych śledzić owych metali gazem wodorodnosiarkowym, lub wodą nasyconą tym gazem. Jeżeli zaraz a nawet po kilku godzinach osad szaro-brunatny nieopadnie, ani płyn nie zciemnieje, mleko nie zawierało w sobie miedzi i ołowiu oprócz cynku, który tu będąc w związku z chlorem wymienionym gazem nie da się wydzielić. Dla wykrycia go trzeba płyn powtórnie mocno zagrzać i wtedy dodać czystej amonii w nadmiarze, i dopiero próbować gazem wodorodno-siarkowym, męt białawy wskaże obecność cynku.

Stosunek kwasu solnego jest łut jeden na dwa tysiące gran mleka.

Szparagi z kartofli. Wybrać długich kartofli, ugotować, ostudzić i wzdłuż pokrajać, na jednym końcu powykrawać je w ten sposób jak wierzchołki u szparagów, zanurzyć je w białku w którym namoczoną była przez noc kawa niepalona—ułożyć na półmisku. Potem ubić żółtka z cukrem, wziąć pół wina i pół wody, wymieszać starannie, zagotować i polać ułożone na półmisku owe sztuczne szparagi.

Smarowidło zabezpieczające obuwie od wilgoci. Do zrobienia tej mieszaniny wziąść jeden funt łoju bydlęcego, ćwierć funta oliwy oraz ćwierć funta tranu rybiego i cztery łuty wosku. Łój z woskiem przetopić na wolnym ogniu, oliwę zaś z tranem dodać po stopieniu łoju i wosku, wymieszać a po oziębieniu zachować do użytku. Smarując tą mieszaniną obuwie, należy je przedewszystkiem dobrze wymyć ciepłą wodą, a następnie tłuszcz wcierać ile można przy ogniu, byle nie zbyt długo, bacząc by tłuszcz przeszedł na drugą stronę skóry. Wosk ma tę własność, iż nietylko dobrze utrzymuje spójność skóry, zatyka wniej wszelkie szpary ale nadaje jej naturalny połysk, opierający się nawet działaniu wilgoci.

ROZMAITOSCI.

† Agenor hr. Gołuchowski, namiestnik w Galicyi, zmarł dnia 3 Sierpnia we wtorek o godzinie 8-mej z rana. Zgon jego nie jest faktem obojętnym dla prowincyi, w której nieboszczyk w imieniu rządu centralnego władzę dzierżył. Wielka znajomość administracyi i wysoka cześć, jakiej doznawał u dworu, osobiście zaś u cesarza Franciszka—nie były bez wpływu na jaki taki rozwój stosunków publicznych w Galicyi. Skomplikowana, umyślnie na sprzeciwieństwa i sprzeczności obliczona machina zarządu centralnego, dawałaby się więcej we znaki Galicyi, gdyby nie osobiste przymioty inteligencyi urzędniczej i osobiste znaczenie namiestnika. Wiele uchwał sejmowych zawdzięcza potwierdzenie cesarskie temu właśnie osobistemu wpływowi nieboszczyka na postanowienia korony, wiele znowu znalazłoby się takich projektów w interesie centralistycznym ułożonych, których rząd nie wniósł lub nie poparł na sejmie jedynie wskutek przedstawień zwierzchnika kraju. Galicyja, która dużo krzyczeć, a mało robić lubi nieotaczała osobistości Gołuchowskiego, takiem uznaniem, na jakie on zasługiwał. W wielu kołach odzywano się o nim z niechęcią; zbierając nawet objawy opinii inteligentniejszej w całość jednego sądu nie można powiedzieć, aby zmarły cieszył się popularnością. Tramtadraci, stronnictwo warchołów lwowskich, uważali go za biurokratę austryjackiego i nic więcej. Dla tych panów wszelki porządek jest biurokracyją i aktem nieprzyjaźni dla Galicyi. To też dzieje się po ich myśli. Mają u siebie bezład niedopozazdroszczenia.

Nie tylko Galicyja ale i Austryja urzędowa stratę Gołuchowskiego odczuje. Sam Franciszek Józef, który podczas choroby kazał był sobie przysyłać codziennie buletyny, nie może bez żałości pomyśleć, że człowiek, który był mu pomocnym w rządzeniu Austryją niezadługo będzie już tylko garsteczką prochu. Jako mąż stanu austryjacki Gołuchowski był osobistością Europejską. Rola jego za różnych ministeryjów austryjackich nie była rolą prostego tylko figuranta. Zaraz po rewolucyi 1848 r. Gołuchowski otrzymawszy namiestnictwo—wyparł zasady Stadiona. A kiedy w r. 1860 kładł swój podpis na dyplomach z 19 i 20 października, kiedy na ułożenie tych dyplomów przeważnie wpływał, kiedy do wprowadzenia ich w życie się przyczyniał—wtedy w tej epoce odradzania się Austryi, imię jego związało się na zawsze, nierozerwalnie z nowym systematem federalistyczno-konstytucyjnym, który przed 15 laty zastąpił był dawny absolutyzm Habsburgów. Jeżeli systemat ten nie mógł się należycie rozwinąć, jeżeli sparaliżowany został, jeżeli już w ostatnich czasach w r. 1873 i 4 przez wprowadzenie wyborów bezpośrednich do Rady Państwa, utracił swoję niewzruszoność prawną — nie było to zaiste winą Gołuchowskiego.

Cesarz Franciszek Józef nakazał wyrazić telegrafem wdowie po hr. Gołuchowskim żywe współczucie. Na pogrzeb deleguje jednego ze swoich generał-adyjutantów i ministra spraw wewnętrznych. Na gmachach publicznych od rana dnia 3 Sierpnia powiewają żałobne chorągwie. *K. W.*

OGŁOSZENIA.

Дозволено Цензурою. Варшава 30 Іюля (11 Августа) 1875 г. - W drukarni E. Skiwskiego,—Warszawa, Elektoralna, Nr. 758 (nowy) 28.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.